

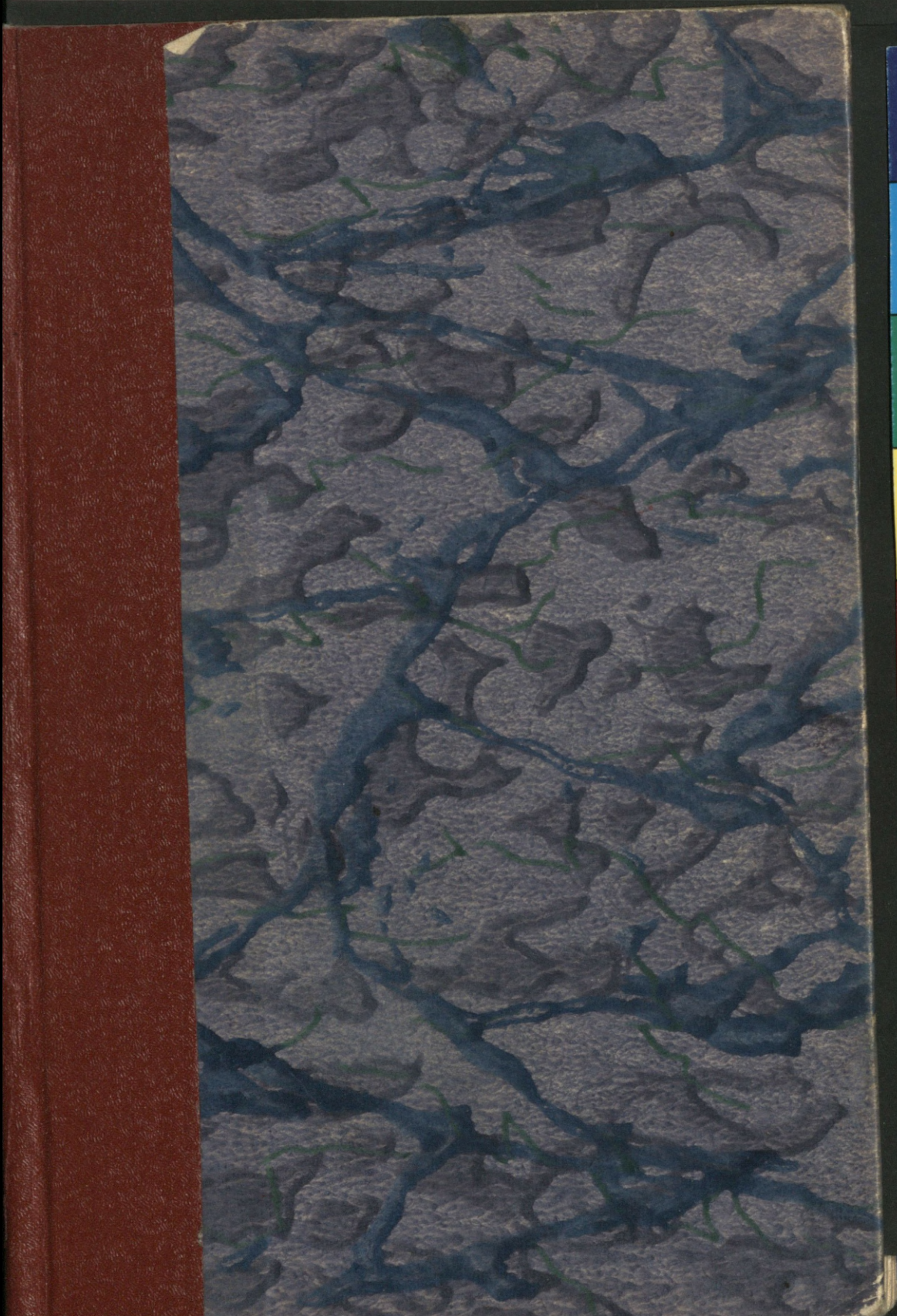
Grey Scale #13

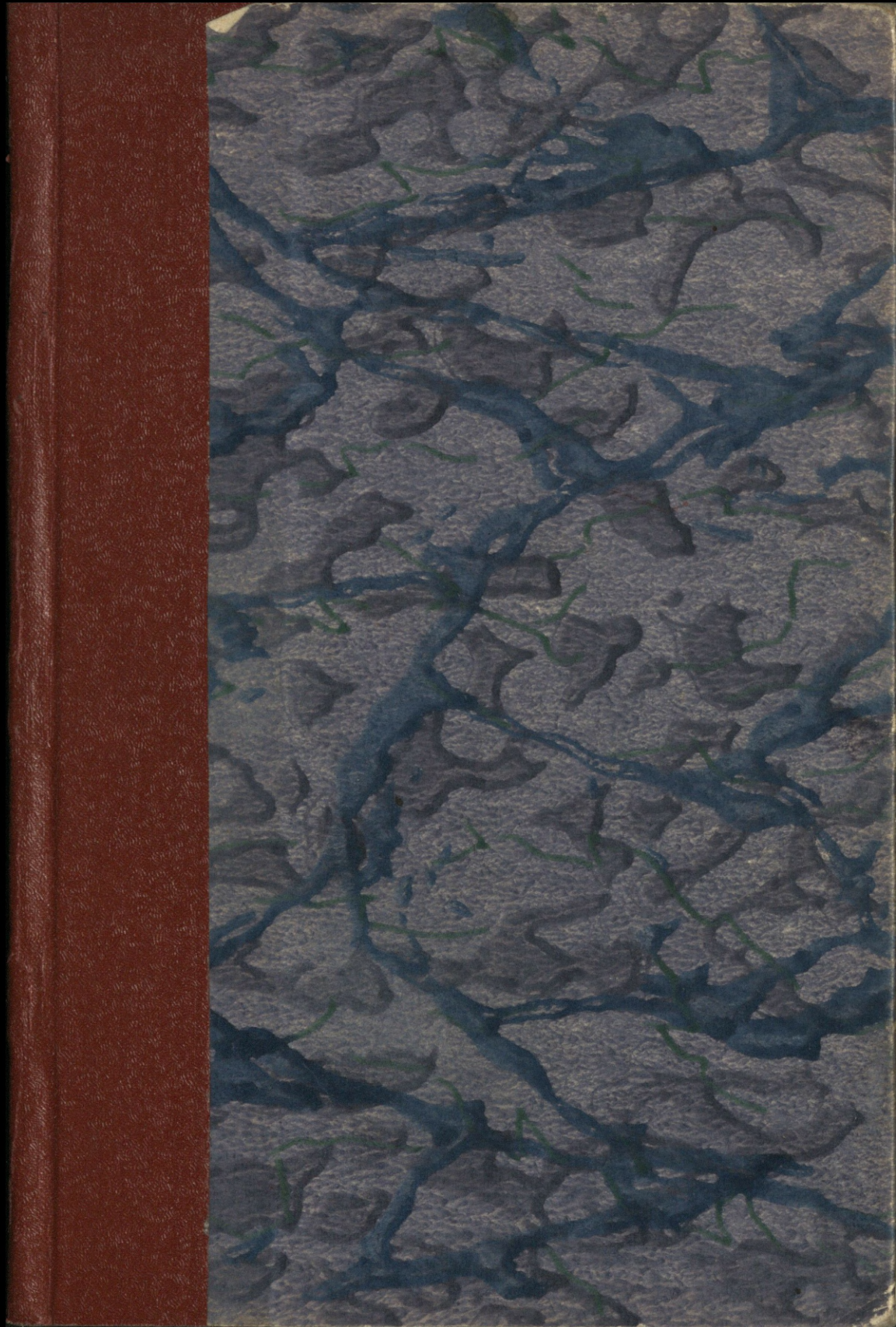


Part Code
ST1316

DANES
-PICTA
COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





Inż. Antoni Deblessem

WSPOMNIENIA z PRAC I WALK O POLSKOŚĆ STANISŁAWOWA



GRATIA

15.7 50

15.7 50

15.7 50

961. 120. 373.

POMORSKI

INŻ. ANTONI DEBLESSEM

Kapt. rez.

*Wspomnienia
z prac i walk o polskość
Stanisławowa*

*Ze specjalnem podkreśleniem akcji P. O. W. z czasów
1918—1920 r.*

*Cały nakład poświęcam na sztandar P. O. W. okręgu
Stanisławów, w 15-tą rocznicę jego oswobodzenia.*

Marzec 1934 r.

43(458)/10: 25.21



33 105 /
2



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



Odbito w drukarni W. Zukerkandla w Łęczowie. — Tel. 89.

1952. b 823/432

W S T Ę P

Za czasów przedwojennych, Małopolska mniej pod zaborem austriackim gnębiona niż inne dzielnice Polski porozbiorowej - oddawała się intensywniej pracy społecznej i przygotowaniu do walki o niepodległość.

Względna swobodę wykorzystano do ostatnich granic, przygotowując z uświadamianej narodowo młodzieży, przyszłe kadry wojska Polskiego.

Najpiękniejszym rezultatem były potem Legiony w roku 1914. i bohaterski wysiłek Lwowa w r. 1918.

Inne miasta tej dzielnicy nie były bezczynne — wspomnę tylko Przemyśl, Złoczów, Stanisławów — wreszcie Stryj, Czortków i Kołomyja, o których ogólnie wiadomo, że w chwili decydującej, nie szczędziły sił i poświęcenia.

Poza Lwowem jednakże, na pierwszy plan wybił się bezprzeczenie Stanisławów, który po prawie siedmiomiesięcznej inwazji ukraińskiej, usiłował odruchem swej młodzieży i społeczeństwa odzyskać niepodległość

Jako Stanisławowianin, któremu dane było akcją tą w tym okręgu kierować, czuję się w obowiązku streścić jej dzieje. To, że czynię to dopiero teraz, po piętnastu latach — będzie przypuszczam najlepszym dowodem, że chodzi mi jedynie i tylko o stwierdzenie faktu dokonanego.

W latach 1910—1914 r. chętnie garnęła się młodzież Stanisławowa do organizacji przysposobienia wojskowego, jakich w mieście powstało kilka.

Był więc przedewszystkiem związek Strzelecki z prezesem Dr. Dobruckim i Komdtem b. por. armji austriackiej, obecnie pułk. Brzezina na czele. Pomagali im obecny pułk. Wieleżyński i kapt. Kupiński. Związek rekrutował się przeważnie z robotników, rzemieślników i kolejarzy.

Drużyny Strzeleckie natomiast, skupiały uczącą się młodzież urzędników, handlowców — na ich czele stali również austr. oficerowie rezerwy, obecny pułk. Sosabowski, ppułk. Lityński i mjr. Strusiewicz.

Istniało też Tow. gimn. „Sokół“ w śródmieściu — lecz czy to z powodu mało odpowiedniej atmosfery, czy mało militarnej ideologii, młodzież skierowywała się tłumnie raczej do nowotworzonych modernistycznych, wolnomysłniejszych Sokolni podmiejskich, których powstało w Stanisławowie aż trzy, pod nazwą: „Sokół Górka“ — „Kolonja“ i „Belweder“.

Może nie byłyby powstały te związki i podmiejskie gniazda, gdyby nie przybycie pewnej „tajemniczej jednostki“, która na zebraniu w kasynie mieszczańskim w r. 1908 lub 1909 przemówiła do nas płomiennie i przekonywująco o konieczności przysposobienia wojskowego, nauki władania bronią, pogotowia do walki o niepodległość. Jednostką tą był obecny Marszałek Józef Piłsudski.

Stałem wówczas wraz z innymi zasłuchany, postanawiając z całym swym dwudziestokilkuletnim zapamiętaniem odtąd tylko w myśl tej ideologii.

Niebawem też, wraz z ob. Majewskim Kazimierzem, Lisem Bronisławem, Szindlerem Edwardem i ś. p. Falkowskim Oswaldem, założyłem sokolnię, która z racji dzielnicy, w której stanęła, nosiła miano sokoła „Belweder“.

Za cel postawiliśmy sobie wychowanie wyłącznie wojskowe, gimnastykę traktując jako rzecz drugorzędną. Dążyliśmy do tego drogą tworzenia t. zw. statych drużyn polowych.

Sokół „Belweder“ skupiał dzielnicową młodzież pracującą, tudzież wszystkich, którzy znajdując tam swoją ideę, do „Belwederu“ lgnęli — większość stanowili pracownicy gazowni, mieszczącej się w tejże dzielnicy.

Cały wydział Sokoła Belweder, z prezesem dyrektorem gazowni Antonim Dziurzyńskim na czele, miał jedynie na oku swoją stałą drużynę polową, której byłem założycielem i komendantem.

Karność, jednolity ekwipunek, znakomite wyćwiczenie tej drużyny, imponowały nie tylko innym Sokółom, lecz i Związkowi strzeleckiemu i Drużynom strz. — a nawet podczas przeglądu drużyn sokolich, obecny gen. Haller zwrócił na nią specjalną uwagę. Budziła też niejednokrotnie zainteresowanie austriackich sztabowców.

Tylko okręgowy naczelnik Sokół Dh. Świątkiewicz, przeciwnik ruchu wojskowego w sokolniach, a wyznawca jedynie gimnastyki, wszedłszy niejednokrotnie w mury „Belwederu“ i zastawszy tam wojskowy rygor i ćwiczenia karabinami, strofował mię nieraz słowami „nie róbcie mi tu koszar wojskowych“.



Drużyna „Belwederska“ — kmdt. drużyny inż. Deblessem zdaje raport prezesowi dyr. Dziurzyńskiemu, (zdjęcie z r. 1913)

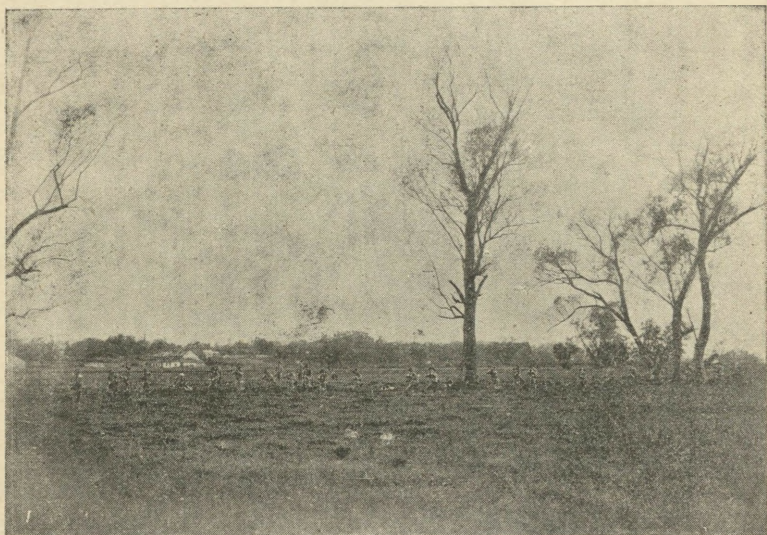
Wytrwaliśmy jednak w duchu militarnym, pociągając za sobą jeszcze sokół „Kolonję“, którego prezesem i komendantem drużyny był ob. Jan Lis, a z czasem nawet sokół miasto, z komendantem ob. ś. p. Długopolskim, który był równocześnie komendantem skauta. Ta ostatnia organizacja dawała materiał wprawdzie najmłodszy, lecz w kilka lat później bardzo aktywny.

Upływały więc przedwojenne lata wśród ćwiczeń polowych, musztry bronią i szkolenia przyszłych żołnierzy polskich.

W pamiętnym dniu mobilizacji, w sierpniu 1914 r. wszyscy wymienieni komendanci drużyn, niewyłączając mnie, zmuszeni byli jako rez. oficerowie armji austr, stawić się natychmiast w swych pułkach.

W przeddzień wyjazdu, drużyna Belwederska wraz ze Związkiem strzeleckim zainicjowała ogromną manifestację na rzecz wojny. Społeczeństwo bowiem wyczuwało, że tylko w takiej zawierusze uda się wolność odzyskać.

Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy, kiedy będziemy do czynu wezwani, lecz czuliśmy wszyscy, że chwila jest bliska — przeto, żegnając się z ukochaną drużyną, zobowiązałem ją, iż gdy tylko padnie odezwa, uatychmiast pójdą z całym Sokolstwem, gdyby zaś Sokół dla jakichkolwiek powodów nie szedł, wówczas pójdą ze Strzelcem.



Cwiczenia polowe drużyny »Belwederskiej» ze Związkiem strzeleckim
(zdjęcie z r. 1914)

Tak się też stało, o czym dowiedziałem się powróciwszy z niewoli Rosyjskiej. Drużyna moja jak jeden mąż zaciągnęła się do legjonu wschodniego — po jego zaś rozwiązaniu, część wcielono do armji austr. część zaś przeszła do legjonu zachodniego.

Zamieszki wojenne rozrzuciły nas wszystkich po świecie, tak się jednak złożyło, że w chwili najkrytyczniejszej dla Stanisławowa, wielu z nas znalazło się w mieście. Tym razem już we wspólnej Organizacji Wojskowej w r. 1918 (P. O. W.)

W innych częściach Polski, np. w Kongresówce, organizacja P. O. W. istniała już od początku wojny i rozwijała się, jak u nas Strzelec, lub inne Drużyny.

Na terenie Małopolski jednakże, gdzie dopiero po rozwiązaniu Legjonów, a już całkiem przy końcu wojny europejskiej usiłowano

w putkach o większości Polaków zaszczerpić tę ideę — miała ona nieco odmienny charakter.

Przytem, akcja była prawdopodobnie wszczęta dość późno — tak, że gdy Austria się rozpadła, nie wszędzie zdołano P. O. W. dostatecznie silnie zorganizować.

Tak właśnie było i w Stanisławowie, — Inwazja ukraińska którą należało odeprzeć wręcz i to natychmiast, zaskoczyła miasto w fazie dążenia dopiero do organizacji. Później dopiero, kiedy Stanisławów był odcięty już od świata i zaokupowany, skupiała się koło garstki pionierów coraz większa gromadka, a jakkolwiek pozbawiona zupełnie łączności z Komendą Główną i działająca intuicyjnie, ideę macierzystej a nieznanej P. O. W. zachowała.

Nie wiedzieliśmy nic. Nawet, gdzie znajduje się Komenda Główna i kto ją sprawuje — jedynie co wiedzieliśmy, to to, że P. O. W. jest tworem Józefa Piłsudskiego, a celem jej jest wywalczenie niepodległości.

Z temi hasłami rozpoczęliśmy akcję wyłącznie na terenie Stanisławowa. Za naszym przykładem, czy też samorzutnie i inne miasta były przygotowane a nawet czynne (Czortków, Kołomyja, Stryj, Tłumacz, i t. d.) Jednak zbrojna akcja P. O. W. była w Stanisławowie i powiecie jako w ośrodku inwazji ukraińskiej, najbardziej zdecydowana i płodna. Rozpoczęto ją jeszcze wówczas, gdy armja Polska była oddalona o jakie sto klm., a więc o trzy dni marszu.

Dziś po piętnastu latach, nikt prawdopodobnie nie weźmie mi za złe, gdy podkreślę, że czyn młodzieży Stanisławowskiej był piękny i bohaterski, jak piękna była też skromność, z jaką po dokonaniu swego, przeszli do porządku dziennego.

Staratem się sprawę przedstawić obiektywnie, w niczem nie koloryzując, ani dodając.

Istnieją zresztą akty, dokumenty, żyją świadkowie, a poza tem niemy, lecz jakże wymowny świadek, wspólna mogiła bestjałsko pomordowanych Peowiaków, na cmentarzu Stanisławowskim.

*

*

*

I.

ORGANIZACJA

P. O. W. POD INWAZJĄ UKRAIŃSKĄ.

Jako oficer b. armji austr. — wracałem w jesieni 1918 r. po trzyletniej z górą niewoli rosyjskiej, do kraju.

Pozostawiałem za sobą wspomnienia ciężkich, ponurych przeżyć. Począwszy od głodnych dni oblężenia Przemyśla, po upadku którego dostałem się właśnie do niewoli — przez trzyletnią udrękę jeńca — aż do momentu, kiedy udało mi się, za cudem uzyskanymi papierami „cywilnego uciekiniera“ wyrwać z tego piekła.

Były to już bowiem, najgorsze dla jeńców czasy Krasnej armji — ściśle mówiąc, komunizmu.

Z Carycyna, gdzie ostatnio byłem w obozie jeńców, udało mi się tuż przed samem jego oblężeniem przez Denikina, wyruszyć ostatnim statkiem Wołgą.

Okrężnemi drogami (bo inne były już odcięte) — po 45 dniach pełnej przygód i katastrof kolejowych podróży, doszczętnie wyczerpany, znalazłem się na stacji pogranicznej, Baranowicze.

Po odbyciu przepisanej kwarantanny i dojściu do względnej równowagi fizycznej i moralnej, niczem wydały mi się te wszystkie przeżycia, wobec niedającego się zaprzeczyć faktu, że oto wracam do swoich! I może właśnie w porę, by przydać się, gdy nadeszło wreszcie to „Coś“ — wielkiego, na co tyle lat czekamy, w co wierzymy, przy czem żadnej jednostce nie będzie wolno stać bezczynnie.

Tymczasem musiałem się zgłosić do rodzimego pułku, stojącego wówczas na Morawach.

Po załatwieniu wszystkich formalności służbowych, dano mi miesięczny urlop wypoczynkowy.

Krótko zabawiłem u rodziny — i zaraz wyjechałem do Stanisławowa, mego stałego miejsca zamieszkania, gdzie od szeregu

lat przed wojną, zajmowałem stanowisko inżyniera gazowni miejskiej.

I tu zaskoczyły mnie wypadki tak nagle, że nie tylko ja, tak świeżo z Rosji przybyły i zupełnie w sytuacji jeszcze nieorientowany — lecz i każdy stały mieszkaniec a nawet czynny oficer armji, wytrącony z równowagi, stawał bezradny.

Było to 1. listopada 1918 r. Początek rewolucji austriackiej.

Powszechnie wiadomo, jak szybko rozpadła się armja austriacka na wszystkich frontach. Szło to błyskawicznie, a tak zaraźliwie, iż jeszcze tego samego dnia, żołnierz każdy zarówno na froncie jak i w głębi kraju, rzucił broń i śpieszył do swego gniazda rodzinnego.

Dzień 1-go listopada, jak dla każdego małopolskiego miasta, był i dla Stanisławowa dniem dziwnym: trwogi, nadziei, domysłów i niepewności. Zapanował jakiś niezwykle ruch.

W szeregach armji, względnie już w luźnych, samopas włączających się oddziałach, uderzał rażący brak dyscypliny.

U oficerów miny napół niepewne, napół tajemnicze. Nikt nikomu nie chciał, a raczej nie mógł udzielić jakichkolwiek informacji — karmiono się natomiast, jak zwykle w takich razach, fantastycznymi plotkami i domysłami.

Późnym wieczorem przywieziono niezwykle nowiny. Podobno spełnił się cud.... ogłoszono niepodległość Polski! Nie było danem jednak Stanisławowowi w obliczu tego wiekopomnego faktu, zaznać samej tylko radości... — był bowiem i ponury komentarz do tej wieści — podobno Małopolska wschodnia w tej tak upragnionej wolności uczestniczyć nie będzie! Mają ją objąć Ukraińcy!

Wiadomości te znalazły potwierdzenie jeszcze tego samego wieczoru, od osób przybyłych ze Lwowa i zachodu, lecz właściwego źródła tego „rozporządzenia“, nikt nie znał.

Zapanowała ogólna rozpacz i rozgoryczenie do Warszawy, która (jak wówczas sądzono) zgodziła się na tak krzywdzący podział.

Fakty te zaskoczyły wszystkich — zarówno Polaków, jak aliantów i szersze koła ukraińskie — tylko Austria zdawała się być na to przygotowana.

Z całej bowiem polaci Małopolski wschodniej, wycofała wówczas wszystkie pułki polskie, zastępując je — zwłaszcza w ostatnich dniach października, pułkami czysto ruskimi.

Był to manewr pełen perfidji i wyrachowania. Austria rewo-

lucję przeczuwała, lecz zapobiec jej już nie miała siły ani możliwości, więc to co usiłowała zrobić z Małopolską wschodnią, było ostatnim ciosem konającego. Miała w tem dwa cele: stworzenie Ukrainy, by ją oddać potem upatrzonemu Habsburgowi (Wasyl Wyszywany) — poróżnienie i wywołanie konfliktu ew. wojny Polaków z Rusinami, a temsamem, odwrócenie uwagi Polaków od zachodu (Śląsk, Orawy, itp.).

* * *

Następny dzień 2-go listopada, był dla Stanisławowa dniem przygębienia. Wieści zdawały się sprawdzać. Od samego rana ruch ożywiony — najwięcej spotykało się wojskowych z różnokolorowymi odznakami na czapkach i mundurach.

Przeważały oczywiście w znacznej mierze odznaki żółto-niebieskie. Garstka oficerów pochodzących z Wiednia, czy wogóle z Austrii, bez żadnych odznak i emblematów państwowych, starała się czempnąć miasto opuścić.

Spotykałem całe grupy żołnierzy zdążających z koszar w kierunku miasta, nawpół po cywilnemu, bez broni i przyborów wojskowych.

Jedną z grup zaczęłem, pytając gdzie idą i z czyjego polecenia. Odpowiedziano mi, że już po wojnie, rozpuszczają wszystkich — najpierw zwalniają Polaków, a potem przyjdzie kolej na Rusinów.

Zrozumiałem to „pierwszeństwo“ oddane polskim żołnierzom! Te resztki znajdujących się w pułkach, były w szeregach ukr. balastem, a nawet czynnikiem niebezpiecznym.

Pod wieczór, zaczęły się snuć uzbrojone ukr. oddziały i zwolna, niepewnie, jakby każdej chwili oczekując oporu, zajmowały ważniejsze budynki w mieście.

Coraz częściej słyszało się nieudolną komendę w ruskim języku, spotykało się grupy z chorągwiami żółto-niebieskimi i coraz większa rozpacz ogarniała obywateli Stanisławowa.

Pod adresem kilku znajdujących się przypadkowo w mieście oficerów Polaków, zewsząd padały pytania: co dalej?

Jaką mogliśmy dać wówczas odpowiedź? Czyż wiedzieliśmy sami, w wyniku czego dzieją się powyższe fakty? Debat międzynarodowych, czy decyzji świeżo powstałego Rządu w Warszawie, któremu się przecież trudno przeciwstawić...

Byliśmy bezsilni, w ogromnej rozterce.

Rozpacz ogarniała nas na myśl, że to drogie miasto, gdzie się tyle pracy niepodległościowej włożyło, przez szereg lat zaprawiało wojskowo zastępy młodzieży, podnosząc ich na duchu i karmiąc wizją pięknej przyszłości, widzieć trzeba będzie skrzywdzone i zawiedzione.

Nie zapomnę nigdy chwili, gdy spotkałem jednego ze swych wychowanków ze stałej drużyny wojsk. „Sokoła-Belweder“ niejakiego Maciejewskiego — wówczas już st. sierżanta. Szedł zdemobilizowany, lecz w pełnym mundurze.

Zobaczywszy nas, (byłem w towarzystwie kuzyna kpt. K. Maciejewskiego, który przed wojną był oficerem oddziału „S. Belweder“) przybiegł, dziwnie podniecony, oczy rozbłysły mu dziwnym ogniem, i mimo 4-letniego niewidzenia się, pierwszym jego pytaniem było, co teraz robić, gdzie się zgłosić — oddaje się bowiem do dyspozycji i oczekuje naszych rozkazów!

Wzruszyłem ramionami, nie mogąc mu dać żadnej odpowiedzi prócz tej, że o ile to jest nakaz Rządu, trzeba się będzie z tem pogodzić.

Wówczas Maciejewski nie mogąc opanować swego zawodu, powiedział z wyrzutem... „to natoście nas panowie szkolili, nato ćwiczyli i uczyli być w pogotowiu na pierwsze hasło, żeby potem“... Nie skończył! Rozstaliśmy się i od tego czasu już go nie widziałem, lecz jeżeli kiedyś będzie czytał mój pamiętnik, niech przypisze sobie, że wyrzutem zrobionym swemu b. komendantowi, przyczynił się wiele do ocknięcia się i natychmiastowego działania.

Przedewszystkiem postanowiłem tego jeszcze wieczoru wyjechać na zachód, celem zasięgnięcia konkretnych wiadomości.

Z niewoli powróciłem przecież zaledwie przed kilkoma dniami — nie mogłem już więc być bardziej niezorientowany, niż byłem.

Z wyjazdem nie miałem trudności. Należało mieć tylko pozwolenie na wyjazd, lecz Polakom były one udzielane nader chętnie, bo to oczyszczało miasto z elementu niepożądanego.

Ze Stanisławowa wyjechałem możliwie. Pociąg skierowano jednakże nie na Lwów, lecz na Stryj. W Stryju dopiero chaos nieopisany! Dworzec nabity grupami żołnierzy, ścisk, wrzask, strzelanina, — tu i ówdzie pojedynczy oficerowie usiłowali utrzymać ład, lecz nikomu już wówczas dyscyplina nie była w głowie.

Na każdym kroku terror żołdactwa, przypominał mi wiernie początki rewolucji rosyjskiej.

W takich warunkach, trzeba się było przesiadać! Udało mi się przedostać do pociągu i zająć miejsce stojące w korytarzu, gdyż poszanowanie dla oficera było już wówczas mitem. Pozajmowano wszystkie miejsca I. II. III. kl., zatarasowano drzwi, i odpowiadano, że dla oficerów miejsc mienia.

Po kilku godzinach, udało nam się wyruszyć. Już w drodze dobiegły nas pogłoski, że Lwów jest częściowo w posiadaniu Polaków, częściowo Ukraińców i na ulicach toczą się walki. Potwierdzili to, jadący, naoczni świadkowie.

Pociąg którym jechałem, był zdaje się ostatnim, który przybył do Przemyśla. Tam musiałem się wbrew zamiarom dłużej zatrzymać, nie mając pociągu już w żadną stronę.

I tu również zaskoczyły mnie walki uliczne. Ukraińcy opanowali miasto, Polacy zaś Zasanie — t. j. dzielnicę po drugiej stronie Sanu. Walczyli sami młodzi chłopcy, uczniowie gimn. w szkolnych mundurkach, zaopatrzeni tylko w karabin i plecak.

„Wojna“ w Przemyśle nie należała do niebezpiecznych, zato do nader charakterystycznych. Widziałem i zapamiętałem zaledwie kilka szczegółów, które podaję z zastrzeżeniem ew. nieścisłości.

Sile zbrojnej i akcji narodowej przewodził po stronie Polaków ks. Pająk — po stronie przeciwnej Korman i Zahajkiewicz.

Przemyśl, rzekomo był oddany oficjalnie Ukraińcom, przez ostatnio stacjonowanego tam generała Puchalskiego, który natychmiast po tem, wyjechał pośpiesznie autem w stronę Krakowa. Same walki były b. względnie i humanitarnie prowadzone. Wyczuwało się, że po obu stronach Sanu, stali przeciwko sobie niedawni koledzy z jednej nieomal ławy.

Przemyśl łączyły z Zasanem jeden most kolejowy, jedna prowizoryczna kładka dla pieszych, oraz most drewniany poza miastem. Główny bowiem most, po wysadzeniu przez Rosjan, nie był jeszcze odbudowany.

Te właśnie mosty, były pilnie strzeżone i obstawione. Jednakże, ludność zamieszkująca po jednej stronie Sanu, miała po drugiej codzienne sprawy do załatwiania — a z tej domowej wojny robiła sobie niewiele. Ruch więc odbywał się normalny przez cały dzień, dopiero wieczór zaczynała się strzelanina. Młodzi kombatanci,

opowiadali mi w swej naiwności, że jedna lub druga strona dawała znać: „teraz rozpoczynamy strzelanie“..... — czyli innemi słowy, „chowajcie się, by się komu jaka krzywda nie stała“ !

W pierwszych dniach posunięto się w kurtuazji jeszcze dalej. Ponieważ z jednej strony Sanu były inne magazyny żywności a z drugiej inne, więc poprostu dzielono się i przewożono potrzebne rzeczy, z jednej strony Sanu na drugą w spokoju.

By zapobiec rozlewowi krwi, usiłował poseł Dr. Lieberman wszcząć rokowania pojednawcze. Na wiecu urządzonym w domu robotniczym na Zasaniu zgromadziło się paręset osób przeważnie kolejarzy, poczem wyruszono przez kładkę do Przemyśla. Nikt im w tem nie przeszkadzał.

Do zgromadzonego tłumu przemówił z okna magistratu Dr. Lieberman i chciał ogłosić Rzecz. posp. Przemyśl, aż do decyzji Warszawy, lecz go nie usłuchano i obie strony wróciły na stanowiska.

Po kilku dniach takich zmagania przyszły małe, lecz dobrze zorganizowane posiłki polskie i w ciągu kilku godzin odebrały Przemyśl już bezpowrotnie. Był to już zresztą najwyższy czas, bo po stronie przeciwnej, przybywało coraz więcej wojska od strony Sambora i Chyrowa.*)

To też sam Przemyśl był z wojska wrogiego oczyszczony, okolica natomiast była całkowicie w jego rękach i tam dopiero czekało nasze oddziały partyzanckie zadanie nielada.

Akcja cała, o której mimochodem wspomniałem, trwała zaledwie kilka dni, a po zajęciu Przemyśla, przyszły wiadomości ze świata.

Dowiedziałem się więc, że wszędzie było to samo. Nikt o niczem napewno nie wiedział i nikt nie miał czasu myśleć o tym lub owym zakątku Małopolski — wówczas, gdy na całym obszarze Polski, ziemia paliła się pod nogami.

Wszędzie trwały jeszcze ciągle rozbijania, obejmowania w posiadanie najbliższego terytorjum, ew. lokalne utarczki, wkońcu, zaimprovizowane, samorzutne, organizowanie się i t. p.

Trudno wobec tego winić kogokolwiek za to zapomnienie i pozostawienie wschodniej Małopolski samej sobie — natomiast

*) Bliższe szczegóły podaje broszurka Ks. Józefa Panasia p. t. „Z ciężkich dni Przemyśla“.



trudno jest się oprzeć wrażeniu, iż obrót inny wzięłyby sprawy gdyby ówczesna Rada Regencyjna zajęła bardziej zdecydowane stanowisko.

Odpowiednio katygoryczny manifest Rady Regencyjnej byłby należycie zrozumiany i wszyscy wiedzieliby, co w danej chwili jest ich świętym obowiązkiem.

Opanowanie Stanisławowa byłoby w początkach przy dysponowaniu nie więcej, jak dwoma karnemi kompanjami, kwestją kilku godzin zaledwie.

Zrozumiałem, że rację mieli ci, którzy instynktownie a bezwzględnie porwali za broń i stanęli w obronie swoich miast, walcząc o każdy budynek, o każdą piędź ziemi! Nie przyjdą rozkazy z Warszawy, nie przyjdą posiłki, bo każdy musi myśleć o sobie i własnego zagrożonego posterunku opuścić nie może!

Trzeba więc organizować, trzeba działać czempredzej, należy za wszelką cenę wrócić do Stanisławowa i wszcząć jakąś akcję.

Opanowały mnie wyrzuty sumienia, że opuściłem miasto w chwili tak krytycznej, kiedy każda para zdrowych rąk i niekłamanego zapału mogła się przydać.

Dowiedziałem się potem, że w Stanisławowie po moim wyjeździe zebrało się szczupłe grono oficerów i radzono nad wystąpieniem zbrojnym — cóż jednak mogła ta garstka! Miasto było już zupełnie w rękach Ukraińców, magazyny opanowane, broń, żywność, amunicja, były już dla tej garstki ochotników niedostępne. Nie wiadano przy tem zupełnie, czy i jakim materiałem ludzkim możnaby w danej chwili dysponować.

Nie było ludzi, ani nie zorganizowanego pod ręką. Organizatorów też było niewiele i na wszelką akcję było już za późno. Dalsze wypadki jednakże wykazały, że sama chyba Opatrzność chroniła wówczas od każdego przedwczesnego odruchu, który niewątpliwie byłby się skończył rzezią i bestjałskimi mordami.

* *

Następnego więc dnia po oswobodzeniu Przemyśla, postanowiwszy za wszelką cenę wrócić do Stanisławowa — wyruszyłem piechotą na Chyrów, wraz z bratem stryjecznym.

Należało się przedrzeć przez cały szereg wsi i wiosek, gdzie straż bezpieczeństwa pełniła t. zw. „milicja wiejska“.

Milicja ta nie brała rzekomo udziału w akcji bojowej, gdyż służyła wyłącznie dla utrzymywania porządków wewnętrznych. Już pod Niżankowicami jednakże, taki właśnie oddział, zatrzymał nas, zaaresztował i odprowadził do komendy ukraińskiej kwaterującej w Nowem Mieście. Obaj z bratem byliśmy w mundurach wzięto nas więc za legionistów, i postanowiono bez sądu powiesić.

Do dziś dnia nie wiem, czemu zawdzięczamy nasze ocalenie. Wtrącono nas tymczasem do piwnicy o powybijanych oknach, gdzie przez trzy dni trzymano nas bez pożywienia, bez wody, bez garści słomy — przy listopadowych mrozach.

Stamtąd wleczono nas z jeńcami cywilnymi do Sambora etapami.

Cały czas nie dawano pożywienia, nie pozwalano odpocząć, nie zgadzano się na żadne ulgi. Szykanowano nas, otaczano prowokatorami, dręczono, upokarzano, z zapalem godnym lepszej sprawy, lecz nie dziwnym przy ogólnie znanym stopniu „kultury“ tego narodu.

Na jednym postoju „etapowym“, w Dobromilu, przyprowadzono interesującego osobnika, schwytanego podobno przy przędzieraniu się ze Lwowa do Przemyśla. Sympatyczny, miał wygląd studenta. Przedstawił mi się jako legionista i członek organizacji P. O. W. — Wtajemniczył mnie w ważną misję, którą miał wykonać, mówiąc, że ma przy sobie ważne raporty i plany i prosząc o radę, co dalej ma robić.

Nauczony doświadczeniem, nie będąc pewnym czy nie jest to jeszcze jeden prowokator więcej, odnosiłem się do niego w pierwszej chwili z dużą rezerwą. Po dłuższej bacznej obserwacji, nabrałem jednak do niego zaufania — zbyt bowiem szczerze rozpacział nad nieudaną misją, a o wypadkach we Lwowie opowiadał ze szczerem przejęciem.

Udzieliłem mu rad — (zawsze jednak oględnie) — a potem w dłuższej rozmowie jaką zawiązaliśmy, dowiedziałem się od niego po raz pierwszy o istnieniu P. O. W. — jako twórcze Józefa Piłsudskiego.

Był to jak się później dowiedziałem, niejaki Julian Grudziński — podchor., który potem wykazał bardzo wiele sprytu i zdolności wojskowych.

Dziś zajmuje jedno z bardzo poważnych stanowisk w Sztabie Głównym, a za zasługi swe jest niejednokrotnie odznaczony.

W Samborze w celach więziennych, spotkałem grupę jeńców cywilnych ze Stanisławowa, przeważnie urzędników dyr. kolei.

Między nimi znajomi moi Dyr. Junga, inż. Dziekoński i inni.

Zaaresztowano ich prawdopodobnie zato, że odmówili posłuszeństwa nie chąc pełnić służby uzurpatorom. Chciano też zapewne mieć zakładników na wypadek wymiany jeńców.

W nocy około 1-szej zaalarmowano całe więzienie, pobudzono nas, wyprowadzono i ani nie spostrzeżliśmy się kiedy wsadzano nas do pociągu. Ruszyliśmy w stronę Stryja. Jak się okazało, pod Chyrowem polskie siły natarły tak ostro, że to wywołało panikę aż w Samborze. Konwojenci zakomunikowali nam, że odwożą nas do obozu jeńców w Kołomyji.

Wiadomość ta ucieszyła mnie niezmiernie, bo droga prowadziła przez Stanisławów i wierzyłem niezłomnie, że uda mi się jakoś zbiec.

Sposobność nadarzyła się prędzej niż sam przypuszczałem. W Stryju, na stacji udało mi się w biały dzień zmylić czujność straży, wydostać z wagonu, zmieszać z tłumem powracających z Rosji na Węgry jeńców — a następnie niepostrzeżenie ulotnić.

Przekradłszy się następnie przez strzeżony most na Stryju podążyłem bez większych przeszkód ku Stanisławowi piechotą.

Było to z końcem listopada 1918 r. Starłem się do miasta wejść wieczorem, aby uniknąć obserwacji i wyniszczonym, brudnym swoim wyglądem nie wzbudzać podejrzenia u władz ukraińskich.

Miasto tonęło w ciemnościach. Ulice nie były oświetlane.

Uderzyła mnie jakaś przeraźliwa pustka i cisza. Przeciagające od czasu do czasu ulicami patrole, wskazywały na to, że jest bądź co bądź w mieście jakaś władza, jakaś siła pięści czy oręża, która chce nadać cechy i pozory utrzymywania ładu i porządku. Tak! Od trzech tygodni, gospodarowali tutaj niepodzielnie i całkowicie Ukraińcy.

Następnego dnia, po względnem doprowadzeniu resztek swego munduru do porządku, zgłosiłem się przedewszystkiem do służby u swej cywilnej władzy przełożonej, t. j. w Magistracie, a następnie w dyr. gazowni.

Wówczas jeszcze Magistrat był pod przedwojenną administracją, nie miałem więc żadnych trudności w objęciu dawnego stanowiska inżyniera gazowni. Szef mój, dyr. gazowni inż. Dziurzyński,

poszedł mi bardzo na rękę udzielając niezwłocznie mieszkania, zaliczki, i t. p.

Pełniąc więc na razie spokojnie funkcje należące do mego zawodu, bacznie obserwowałem poruszenia tworzącej się armji ukraińskiej, zarządzenia władz lokalnych, — reagowanie nato i wogóle zachowanie się ludności.

Podczas mej trzytygodniowej nieobecności, zaszły tutaj duże zmiany. Cywilne urzędy „państwowe“ obsadzone były już ruskimi siłami naczelnymi.

Wojska przybywało z dniem każdym. Rozpoczęto pobór powsiach i miasteczkach — na dziedzińcach koszarowych ćwiczone rekrutów, gromadzono broń i amunicję.

Stanisławów, jako miasto największe z posiadanych przez Ukraińców, stało się siedzibą Rządu, kuźnią wszelkich zarządzeń, centralą „skarbu“, mennicą papierowych asygnat — jednym słowem, stolicą okupantów. W swych zwrotach, nazywam okupantów czasem Rusinami, czasem Ukraińcami — ta druga nazwa jest jednakże na terenie dawnej Galicji niewłaściwa. Przed wojną bowiem nigdy się tam nie mówiło o „Ukraińcach“, — Wtedy Rusini gęsto zamieszkujący Małopolskę wschodnią żyli z Polakami w zupełnej zgodzie, byli ze sobą zżyci, często spokrewnieni przez małżeństwa mieszane.

Na tej samej ziemi mieszkano, do tych samych przeważnie szkół uczęszczano, w tych samych urzędach pracowano — w miejscowościach, gdzie był kościół tylko polski lub tylko ruski, chodzono wspólnie na nabożeństwa.

Chłop ruski, w spokoju pracował na roli, woził produkty do najbliższego miasta, polityką się nie zajmował, a już bezwarunkowo do wojny i to ze swym pobratymcem nie miał ochoty.

„Inteligencja“ ruska tworzyła się dopiero, i to bardzo, bardzo wolno. Nieliczni chłopscy synowie, posyłani do szkół średnich, wybierali albo zawód księdza, albo nauczyciela — inne, nadzwyczaj rzadko.

Wojna, i podniecone przez konającą Austrię umysły tej garstki inteligencji — „stworzyły“ na terenie Małopolski wschodniej „Ukrainę“ — i odtąd ta nazwa stała się ich punktem honoru.

Zaczęto podżegać spokojnego, łagodnego chłopca ruskiego do wojny, ale jeden, drugi i tysięczny odpowiadał: „ta za szczo ja budu sia bity!“ „ta na szczo mene jakaś Ukraina!“

Ściągano więc do wojska z trudnością. Dobrowolnie o mało nikt nie szedł, — dezercja natomiast była na porządku dziennym, a patrole wysłane za dezertierami, przepadały najczęściej same bez wieści. Mimo to — jakotako podćwiczone oddziały, bez przerwy wysyłano na front.

Na tyłach zaś, organizatorzy armji ukraińskiej mieli widać czasu natyle, by dla swych różnych oddziałów, obmyślać uniformy, czasem iście maskaradowe.

Nic dziwnego, że nieraz z Ukrainy wschodniej przybyły figury, miast „pognębić“ nas i zaimponować — znalazły tylko uwiecznienie w karykaturach, których kilka udało mi się zachować. W takich oto warunkach tworzone armję ukraińską.



Karykatury z czasów inwazji ukr. w r. 1918—1919.

Początkowo mieszkańcami Stanisławowa, Polakami, prawie się nie zajmowano. Powoli jednak z dniem każdym, stosunki się pogarszały i w bardzo krótkim czasie dali nam uzurpatorzy poznać wszystkie wrodzone cechy i instynkty tego cywilizowanego narodu: barbarzyństwo, wandalizm, nieokrzesanie.



Karykatury z czasów inwazji ukr. w r. 1918—1919.

Każdy szczęśliwy i zwycięski krok Polaków pod Lwowem — odczuwał Stanisławów coraz to większymi represjami i obostrzeniami. Mszczono się na ludziach i rzeczach martwych. Zniszczono w mieście wszystkie pomniki i pamiątki polskie — między innymi pomnik Grunwaldzki, pomnik Mickiewicza, itp. //



Karykatura z czasów inwazji ukr. w r. 1918—1919.

Nikt tej żądzy niszczenia nie przeszkadzał ani nie przeciwstawiał się, jakkolwiek Magistrat powinien był przynajmniej usiłować bronić swej własności i dorobku kultury.

Represje ludności polskiej zaczęły się w całej okazałości już w grudniu, Żydzi zaś jako neutralni — byli na specjalnych warunkach.

Na ulicach miasta nie wolno się było pokazywać w grupach większych, jak dwie osoby. Trzy, już wzbudzały podejrzenia konspiracji i policja albo rozpędzała je, albo aresztowała. Wieczorem wogóle wychodzić nie było wolno.

Restauracje, cukiernie, kasyna, o 11-tej, a potem nawet o 10-tej musiały być bezwzględnie zamykane.

Rewizje w poszukiwaniu broni, amunicji, wogóle utensylii wojskowych, były na porządku dziennym. Odbywało się to wszystko wiernie w stylu dawnych carskich, a potem bolszewickich rewizyj. Było więc „zaskakiwanie“ w nocy, otaczanie mieszkania, plondrowanie, łącznie z wyrywaniem podłóg, rozpruwaniem poduszek, sienników, rozbieraniem pieców i t. d.

Nie brakło oczywiście faktów znikania przy tej okazji biżuterji, gotówki i wartościowych przedmiotów.

Wszystkie te fakty obserwowałem i notowałem w pamięci, jakkolwiek sam jako zamieszkały za miastem w fabryce, byłem od takich wizyt wolny, przynajmniej na razie.

* * *

Mniej więcej w tydzień po moim powrocie do Stanisławowa, gdy się już zorientowałem trochę w stosunkach, postanowiłem poczynić wywiady, będąc przekonanym, że w mieście między b. wojskowymi i młodzieżą, muszą się znaleźć umysły wzburzone, patryjotycznie i wojowniczo nastrojone, które możnaby ew. ująć i odpowiednio zużytkować. Być może zresztą, że już istnieje jaka zorganizowana grupa — to się tam i moje siły mogą i muszą przydać.

Chciałem przede wszystkim wejść w jakieś liczniejsze zebranie męskie. Niestety, nie zanesiło się na to. Zebrań jak już wspomniałem, urządzać nie było wolno, urządzić zaś wycieczkę za miasto, znaczyć, znaleźć się natychmiast za kratkami. Ograniczyłem się więc w pierwszych dniach, do spotykania się z pojedynczymi znajomymi. Jako Stanisławowianin, znałem wiele osób, zwłaszcza z kół wojskowych, sokolich, strzeleckich — i mnie znano jeszcze z przed wojny, jako zwolennika wychowania militarnego młodzieży i komendanta st. drużyn przysposobienia wojskowego. To też nawiązanie kontaktu, było dla mnie kwestją kilku dni.

Z początkiem grudnia — zaproszono mnie do kasyna mieszczącego, na „partię bilardu“

Tam zastałem dobrych moich znajomych, por. Strusiewicza i por. Lityńskiego. Po krótkiej konferencji przy bilardzie, z zachowaniem wszelkich ostrożności powiadomiono mnie, iż w istocie jest już nawpół zorganizowana grupa, która liczy na mój udział. Oświadczyłem więc natychmiast moją gotowość do współpracy i prosiłem o bliższe szczegóły. Ponieważ jednak kasyno nie było zbyt pewnem i bezpiecznem miejscem, gdzie możnaby swobodnie udzielać sobie nawzajem długich informacji — oświadczone mi tylko, że jeden z nich opuszcza Stanisławów ze względów zdrowotnych (Lityński), drugi ma inne zadania — na mnie natomiast czeka ważna misja, o której miałem się dowiedzieć na ponownym zebraniu u por. Hofmoka!

Dnia następnego, zastałem tam już oprócz gospodarza ppor. Seidlera, Halewskiego, Łozińskiego, M. Henisza, Dyńkę i Piskozuba.

Z wyjątkiem starszego już wiekiem Łozińskiego, wszystkich innych pamiętałem z przed wojny, jako młodych uczniów gimnazjalnych, garnących się już wówczas do organizacji wyszkalających wojskowo.

Ich zapał, siła woli, chęć czynu wywarły na mnie odrazu silne wrażenie.

Ku mej ogromnej radości dowiedziałem się, że tajna organizacja już się tworzy i z każdym dniem jest liczniejsza. Jest zorganizowanych około 300 ludzi, (w tem jeden patrol żeński) — nie mają jednak komendanta, liczą więc na mnie i mnie nim obierają.

Zdumiony i zaskoczony, broniłem się zrazu, nie czując się ani godnym, ani przygotowanym na tak odpowiedzialne stanowisko.

Przedewszystkiem, pragnąłem usłyszeć dokładnie co jest zrobione, jakie są zasady na których organizacja oparta, i jakie plany.

Por. Hofmokl jako najstarszy zdał mi następujący raport: „Organizacja ma swój początek od zebrania kilku oficerów jeszcze „dnia 3. listopada 1918 r. w Sokole głównym w lokalu Skautów. „Obecnymi (a więc założycielami — przypisek autora) byli: ś. p. „Władysław Niedzielski, ś. p. Władysław Dyśko, Mieczysław Terlikowski, Stanisław Halewski, Antoni Pawlikowski, ś. p. Adam „Nowicki, Tadeusz Dyńko i Czesław Hofmokl. Na zebraniu tem „postanowiono założyć organizację, która mogłaby zbrojnie wystąpić przeciwko Ukraincom.

„W porozumieniu z obecnymi w Stanisławowie, dawnymi pracownikami niepodległościowymi z Drużyn i Strzelca ob. Strusiawiczem, Lityńskim i Heniszem, którzy na razie nie chcieli zwracać na siebie uwagi, władz ukraińskich, zamianowano pierwszym komendantem organizacji p. por. N. Cyconia.

„Organizacja była prowadzona dzielnicami, których było IV-ry. Ludzi mieli około 300.

„Pozatem połączono się z nieliczną grupą, ściślej mówiąc z kilkomina jednostkami z istniejących jeszcze resztek P. O. W. w armji austriackiej, z ppor. M. Heniszem na czele.

„Zgodnie przyjęli nazwę Polskiej Organizacji Wojskowej, zwłaszcza iż jest ona tworem Naczelnika Państwa J. Piłsudskiego.

„Wprawdzie, skrystalizowanego planu nie mają, wobec braku jakiegokolwiek kontaktu z armją Polską — jednakże przewidywane jest w każdym razie wystąpienie z bronią w rękę.

„Broni mają około 100 sztuk długiej i 90 sztuk krótkiej — amunicji, około 5 magazynków na sztukę.

„Młodzież zorganizowana systemem dziesiątkowym, odbywa musztrę i ćwiczenia bronią, po piwnicach i zakamarkach miasta.

„Raporty i sprawozdania pisemne, zbiera się co parę dni. Wreszcie po wyjeździe ppor. Cyconia już po raz trzeci z rzędu mianują kogoś komendantem, lecz każdy z nich z ważnych względów uważał za konieczne, komendę złożyć“.

Przestałem się wahać. Postanowiłem stanąć na czele tej garstki zapaleńców i strzec tej sprawy, która, po zdobyciu silniejszych podstaw, może się stać wybawieniem drogiego miasta. Zdawałem sobie sprawę, że każdy przedwczesny odruch, jakaś nieostrożność, jakieś słowo niebaczne, naprowadzi okupantów na ich ślad i w rzezi, jakaby niewątpliwie wówczas nastąpiła, zginą oni, a z nimi przepadnie ich upragniony czyn bohaterski.

Oznajmiłem więc, że komendę przyjmuję, nie cofnę się, doprowadzę organizację do czynu i położonego we mnie zaufania, będę się starał za wszelką cenę, nie zawieść!

Wzamian, żądam bezkrytycznego posłuchu, i ślepego wypełniania rozkazów.

Obowiązki - swe rozpoczynam z miejsca — i aż do wydania dalszego zarządzenia, zabraniam jakichkolwiek zebrań, ćwiczeń

bronią, pisemnych raportów — co więcej, zalecam zaprzestać na razie werbowania nowych członków!

Gdyby ten zapal, ten rozmach i zdecydowanie do czynnej obrony można było cofnąć wstecz do pierwszych dni listopada, tempo takie byłoby pożądane i zbawienne. Wyparcie Ruisów ze Stanisławowa, byłoby wówczas kwestją godzin zaledwie. Teraz jednak, należało jaknajstaranniej usypiać czujność uzurpatorów, działać z premedytacją, a to co już powstało, nakryć czempredzej czapką niewidką.

Roznamiętnionej młodzieży, nie odrazu trafiły moje zarządzenia do przekonania. W oczach ich czytałem ogromne rozczerzowanie. Pomimo to, rozkazy moje spełniano ściśle, a już po kilku tygodniach, przyznano mi zupełną rację.

Po owej naradzie, noc spędziłem bezsennie. Zdawałem sobie najdokładniej sprawę z grozy położenia. Wiedziałem, że Ukraińcy, znając dobrze Polaków, domyślają się istnienia jakichś tajnych organizacyj — będą je więc śledzić, bez wytchnienia.

Na wypadek jakiegokolwiek zdemaskowania, nam wszystkim grozi śmierć, a miastu takie represje, jakich napewno zwykły śmiertelnik nie byłby już w stanie znieść.

Tych 300 słabo uzbrojonych ludzi, którzy oddali się pod moją komendę, cóż znaczyło wobec istniejącej już, jakotako utrzymywanej w karchach, dobrze wyekwipowanej i posiadającej wszystkie rodzaje amunicji, armji ukraińskiej?

Występować zbrojnie, nie mając najmniejszych szans powodzenia — gdy część Lwowa była jeszcze ciągle w rękach okupantów, gdy z nikąd żadnej pomocy nie można się było spodziewać, i gdy sami byliśmy strzeżeni, pilnowani, otoczeni konfidentami — czyż można? Może inaczej wyglądałoby 1-go listopada, lecz w takiej chwili wydać rozkaz zbrojnej akcji byłoby szaleństwem, utopją, kompletnym brakiem rozwagi i kardynalnym głupstwem, które społeczeństwu polskiemu, przyniosłoby napewno więcej szkody, niż korzyści.

Niemniej jednak, tych 300 ludzi młodych a tak pełnych zapалу, należało utrzymać w ręku i zużytkować gdy nadejdzie odpowiedni moment i potrzeba.

Biłem się z myślami, jaki plan ułożyć, jakie sobie postawić zadanie, i do jakiego dążyć celu.

Nie zdawałem sobie narazie sprawy ani z czasu, jaki nas dzielił od konieczności zbrojnej akcji, ani z formy w jakiej miałyby się przejawiać. Miałem tylko nadzieję, że nadejdzie czas, w którym dojdziemy do kontaktu z armją Polską i postąpimy w myśl otrzymanych od niej instrukcji.

Po długich namysłach, zacząłem szkicować pierwsze zarysy planów przyszłości. Akcję pod Lwowem uważałem za zbliżającą się ku końcowi.

Jeszcze tydzień, jeszcze dwa, — myślałem — a teren walk zacznie zbliżać się ku Stanisławowowi. Wówczas, dla zdążającej na Stanisławów armji Polskiej, P. O. W. mogłoby być pomocą niemałą.

Nadejdzie niezawodnie chwila, że z miasta wyślą Ukraińcy wszystkie posiłki, a zatem osłabnie ich siła wewnętrzna. Wówczas wystąpi zbrojnie P. O. W. — Chociażby nie miało nadziei dłuższego utrzymania się, to jednak, tyły armji broniącej dostępu do Stanisławowa zostaną zaniepokojone, rezerwy wycofane, a temsamem front osłabiony, co choć w części ułatwi naszym wojskom zwycięstwo.

Taki był mój plan pierwotny, lecz jak się później okaże, przybrał on szersze i szczytniejsze rozmiary — a zadanie jakie spełniła P. O. W. w Stanisławowie było daleko donioślejsze.

W pierwszych dniach mej komendantury, powtórzyłem rozkaz, a raczej zakaz zebrzań, imiennych list, ćwiczeń zbiorowych, zastrzyłem metody zaciągów do P. O. W., kontroli raportów itd.

Postanowiłem zwiększyć organizację liczebnie do pewnego maksimum, które według mych obliczeń, można było osiągnąć bez obawy wkręcenia się żywiołu niepożądanego. Chciałem się mianowicie zatrzymać przy 6. kompanjach liczących po 100 ludzi. Stworzony został więc szkielet tych 7 kompanij mających się rozwijać.

Licząc się z ewentualnemi konsekwencjami a nie chcąc narażać rodzin całych na wypadek ujawnienia przynależności głowy domu do P. O. W. poleciłem nie zwracać się do ludzi żonatyh i obarczonych rodziną, i ograniczyć się do tych, którzy w organizacji już pracują, werbować już natomiast tylko wolnych. Dla tego samego powodu, zabroniłem organizowania patroli kobiecych, prócz już istniejącej, która otrzymała zadanie zupełnie oddzielne.

Nie świadczy to, jakoby miał zapomnieć i pominąć cały

szereg ludzi starszych, poważnych, przeważnie oficerów i fachowców w różnych kierunkach i z różnych rodzajów broni.

Tych zorganizowałem zupełnie oddzielnie, bez ich wiedzy i jakiegokolwiek udziału, nie narażając ich w niczem i nie operując ich nazwiskami.

Mieli oni w odpowiednim momencie otrzymać zadania z góry dla nich obmyślane i przeznaczone, a stosowne do ich wiedzy woj-skowej i rodzaju broni.

Pozatem, wszelkie inne dyspozycje, rozkazy, raporty, listy członków, broni, amunicji itp. polegały na konotowaniu i przedawaniu pamięciowem.

Wobec takich ostrożności, nie potrzebowałem obawiać się niedoboru ludzi, a co zatem idzie, zdradzenia organizacji. W naj-gorszym zaś wypadku, zdemaskowanie mogło za sobą pociągnąć ofiarę najwyżej 10 ludzi.

Ciężkie próby czekały P. O. W. o czym świadczy fakt, że z pierwszej Komendy dotrwało do końca zaledwie dwóch, a to por. Hofmokl i Dyńko.

Inni przedwcześnie wyjeżdżali, a na ich miejsce powoływani byli coraz to młodszy oficerowie.

Ostateczny skład Sztabu, który dotrwał do końca i doprowadził do owocnych rezultatów, był następujący:

Komendant główny — *Antoni Deblessem*

Zastępca i komentant I-ej Kompanji — *Czesław Hofmokl*

Komendant II-ej Komp. — *Henryk Seidler*

„ III-ej „ — *Kazimierz Grodzicki*

„ IV-ej „ — *ś. p. Kazimierz Kopyto*

„ V-ej „ — *K. Łoziński*

„ VI-ej „ — *Wł. Łoziński*

„ VII-ej „ — *Jan Lis*

Adjutanci! *Bubnicki i M. Henisz*

Komendant oddziału wywiadowczego: *Tadeusz Dyńko*

Nie wiedzieliśmy wówczas niestety do jakiej Komendy Na-czelnej okręg nasz należał. Straciwszy jak już wspomniałem wszel-ki kontakt z władzami zwierzchniemi, byliśmy poprostu jednostką samodzielną, kierującą się własną intuicją. Najwyższą władzą była dla nas Komenda Okręgowa, którą tworzyliśmy sami. Ko-

mendanci kompanji byli właściwie tem, czem w innych miejscowościach obwodowi — mieli bowiem prócz swoich Kompanij zadania specjalne i samodzielne.

W sprawach zasadniczych, ważnych, dotyczących całej organizacji, obradowaliśmy i decydowaliśmy wspólnie.



Sztab P. O. W. Stanisławowskiego Okręgu. Siedzą od lewej: Kapt. Dyńko, I. adj. Major Henisz, gł. Komdt. Kapt. Deblessem, II. adj. Por. Bubnicki, zast. Komdta Por. Hofmoki, Por. Kadów w zast. Por. K. Łozińskiego. Stoją: Kapt. Lis, Podchor. Wł. Łoziński, Por. Grodzicki, Por. Seidler, ś. p. Por. Kopyto.

Zebrania kontrolne poszczególnych patroli, lub lustrowania oddziałków, odbywały się pod rozmaitemi pozorami, zależnie od pomysłów poszczególnych komendantów plutonów, względnie dziesiątek.

I tak np. najczęściej w niedzielę na nabożeństwie w kościele OO. Jezuitów lub w Farze, przeglądał i kontrolował komendant swój pluton, bez najmniejszego zwrócenia czyjejkolwiek uwagi.

Inny znów, stanąwszy o 12-ej w południe na rogu najruchliwszej ulicy, odliczał swoich ludzi przechodzących pojedynczo po drugiej stronie ulicy, w odstępach 20—30 kroków.

Znowu inny, stał na dworcu kolejowym i obserwował cisnących się do kasy biletowej „pasażerów“.... byli też śmiałkowi, którzy u siebie w domu robili mniejsze zebrania, pod pretekstem uroczystości rodzinnych, wspólnej nauki, zabawy, itp.

O swoją osobę musiałem dbać, ze względu na odpowiedzialne stanowisko naczelne. Wprawdzie, mieszkając za miastem w gazowni, czułem się dość pewnie, jednak miałem mimo to do dyspozycji 3 mieszkania, i naprzemian w nich nocowałem.

Zebrania sztabu, odbywały się coraz to gdzie indziej. Najczęściej u mnie w gazowni, która pilnowana była przez straż ukraińską i dlatego właśnie czuliśmy się tam zupełnie bezpiecznie. Każdy z członków wchodził do gazowni jako interesant — czy to w sprawie rachunku za gaz, czy też kupna paliwa.

Często też zbierała się komenda w mieszkaniach ob. Hofmokla Łozińskiego, Seidlera, Halewskiego, Hauswalda i innych.

* * *

Przeszły święta Bożego Narodzenia, w nastroju prawie ponurym, lecz w spokoju. Styczeń też przeszedł bez szczególnych zmian dla miasta i jego mieszkańców.

Władze ukraińskie czuły się coraz lepiej i pewniej. Gdy z początku tolerowano urzędników Polaków z konieczności, w obawie, by administracja nagle nie stanęła, to już po paru tygodniach „Samodierżawia“ zażądano najbezczelniej w świecie przysięgi rządowi ukraińskiemu, na wierność i posłuszeństwo, a kto przysięgi tej nie złożył, musiał ustąpić ze zajmowanego stanowiska.

Społeczeństwo polskie zareagowało niemal jednogłośnie cichą, lecz dosadną manifestacją. Żaden bowiem z urzędników polaków, przysięgi tej nie złożył — wolał stanowisko opuścić, skazać na głód i nędzę swoje rodziny kto wie na jak długo, aż nadejdą wojska polskie, w co wierzono niezłomnie.

I do Magistratu przysłała odezwa z kategorycznym żądaniem złożenia przysięgi. Jako urzędnicy samorządowi, zebraliśmy się wszyscy, celem powzięcia odpowiedniej uchwały. W rezultacie, postanowiono pozostawić każdemu urzędnikowi wolność decyzji w tej sprawie. Byłem niestety, jedynym urzędnikiem gminy miasta Stanisławów, który przysięgi nie złożył. Oczywiście zwolniono mnie natychmiast z zajmowanej posady. Dla wszystkich „opornych“, rozpoczęło się twarde borykanie się z losem i walka o chleb codzienny.

Nadzwyczaj humanitarną akcję podjął polski komitet narodowy, z p. Salwachem na czele.

Posiadając pewne fundusze zapasowe, wypłacał polskim urzędnikom nie pełniącym służby, pewne zaliczki na pensję, które mieli nadzieję kiedyś od Rządu polskiego otrzymać i zwrócić.

Były to kwoty niewielkie, lecz stały się podstawą utrzymania rodzin. Dopełniano je, jak kto mógł. Pomagano sobie oprócz wyprzedawania się, t. zw. przemysłem domowym — sprzedają tytoniu, wyrobem papierosów, robótkami, tu i ówdzie jakąś lekcją u najmniejszego obywatela miasta i t. p.

Nie posiadający rodziny, a zdrów, nie zgłaszałem się do Komitetu Narodowego o udzielenie zaliczek, nie chcąc przyczyniać się do szybszego wyczerpywania zbawionego dla innych funduszu.

Starałem się sam zapracować na niezbędne swoje potrzeby. Początkowo podjęty przezemnie handel tytoniem zajmował mi zbyt wiele drogiego czasu, którego organizacja wymagała odemnie coraz więcej. Wpadłem wreszcie na pomysł zarobkowania, które mi w pracy w P. O. W. nie tylko nie przeszkadzało, lecz niejednokrotnie pomagało. Otworzyłem mianowicie szkołę tańca. Warunki mi sprzyjały. Ładną salkę stojącego pustką sokoła „Belweder“ po względem doprowadzeniu do porządku, zużytkowałem na ten cel — a chętnych tej „wiedzy“ — nie brakło, zwłaszcza wśród pań.

Uczennice moje rekrutowały się prawie wyłącznie ze sfer ukraińskich. Z „uczniami“ — miałem już najmniejszy kłopot. Wszyscy członkowie P. O. W. — którzy mieli się zgłosić po rozkazy, lub z raportami, występowali jako „siły ćwiczebne“ mej szkoły. Ileż to razy i w jak ważnych sprawach oszukiwaliśmy w ten sposób czujność okupantów! Ileż razy błogosławiłem swój pomysł pozwalający mi na swobodniejszą akcję przez pewien czas!

Mijały tymczasem tygodnie i miesiące, bez żadnej wieści i żadnej zmiany, zapanowała apatia i przygnębienie.

W szeregach P. O. W. nie tracono nadziei, lecz zato cierpliwość. Pociągi ze Stanisławowa na zachód zupełnie nie kursowały, poczta wcale nie przychodziła. Ani śladu jakichkolwiek pogłosek czy objawów zbliżania się armii polskiej ku wschodowi. Wychodzące ukraińskie pisma „Republika, Nowe Żyttia i Strylec“ karmiły nas tylko wieściami o coraz to większych zwycięstwach ich armii — i wprowadzały ogół w nastrój jeszcze większego przygnębienia. Mimo to, czytywało się je codziennie z zapartym tchem... Zwyczajnie grupka złożona z 3—4 osób (więcej nie było wolno) siadywała w kawiarni „Union“ przy stoliku, a jeden jak go

zartobliwie nazywano „mocny w ruskiem pisanem“ odczytywał i tłumaczył „najświeższe“ wiadomości miejscowego organu.

P. O. W. wysyłała na Zachód 2 razy kurjerów, lecz jak się potem okazało, jednego zaaresztowano, (ob. Horodyski) a drugi wprowadzie przedarł się z raportami do głównej Komendy Polskiej, (ob. Halewski) lecz wrócić z rozkazami i nowinami już mu się nie udało. Więcej kurjerów nie wysyłaliśmy, nie chcąc pozbawiać się tak potrzebnych nam ludzi.

Władze ukraińskie organizowały się tymczasem coraz intensywniej. Obsadzono coraz więcej posterunków swoimi ludźmi mniej, lub więcej fachowymi.

Skład Rządu ukraińskiego przedstawiał się w grudniu 1918 r. mniejwięcej następująco:

Premier i Finanse	— <i>Dr. Hułubowicz Sydor</i> (po ustąpieniu <i>Dr. Kościa Lewickiego</i>)
Sprawy Wewnętrzne	— <i>Dr. Makuch Iwan</i>
„ Zagraniczne	— <i>Dr. Cegielski Longin</i>
„ Wojskowe	— <i>Witowski Dymitr</i>
„ Sądowe	— <i>Buraczyński Osyp</i>
Rolnictwo	— <i>Inż. Martynicz Michał</i>
Oświata	— <i>Dr. Artymowicz</i>
Komunikacja	— <i>Inż. Myron</i>
Roboty Publiczne	— <i>Inż. Kozaniewicz</i>

Starostą został sędzia *Kulczycki* — komisarzem miasta *Czajkiwski* — komenda miasta zmieniała się często, najdłużej godność tą piastował *kpt. Harabacz*, — słowem całą inteligencję jaką Rusini mieli do dyspozycji, wciągnęli w koło rządzące i obdarowali stanowiskami bez względu na to, czy dany osobnik odpowiadał placówce i miał o niej choć słabe pojęcie, czy nie.

Byli jednak ze siebie zupełnie zadowoleni i „panowali“ w spokoju, aż nagle, zaniepokoiła i zbudziła ich czujność straszna dla nas wieść, że w Złoczowie wykryto tajną organizację młodzieży polskiej, przygotowującej się do zbrojnego wystąpienia. Wszystkich organizatorów, bez litości rozstrzelano!

W społeczeństwie Stanisławowskiem, wywołał ten fakt zrozumiałą panikę, która w wielkiej mierze przedostała się również do szeregów P. O. W., zwłaszcza gdy Kmdt. miasta Złoczowa po wykryciu tajnej organizacji przeniesiony został do Stanisławowa.

Zarządziłem jaknajdalej idące ostrożności i nie zaniedbałem niczego, by młodzież Stanisławowską od podobnej katastrofy uchronić. Wiedzieliśmy wszyscy, że wykrycie było dla nas równoczesnym wyrokiem śmierci, a dla reszty mieszkańców okresem wzmożonych represyj, szykan, krzywd i prześladowań.

Natychmiast po wypadkach złoczowskich, zdwoiły władze ukraińskie czujność, rozpoczęły nowe rewizje, śledztwa, badania. Śledzono i tropiono już niemal każdego młodego człowieka z osobna. Aresztowano szereg osób zajmujących przeważnie wybitne stanowiska w P. K. N. Już wyraźnie mówiono, że chcą wykryć tajną organizację. Wiele z tych osób wywieziono i internowano w obozie jeńców w Kołomyi, Skolem, Samborze, Buczaczu, Jazłowcu.



Pierwsza grupa aresztowanych i więzionych cyw. obyw. miasta
p. Leszczyński, p. Fuchsówna, p. Bertoni, p. Łękowski, p. Łusakowska,
p. Yunga, p. Zagajewski, p. Cyga, p. Salwach, p. Brykczyńska, p. Macura,
p. Orzechowski, ks. Skarbowski, p. Górczany, p. Szczypczyk, p. Łopuszański i i.

Najciekawsze, iż w tych masowych aresztowaniach nie udało się ukraińcom prawie nikogo z P. O. W. zatrzymać. Z oficerów P. O. W. był aresztowany i wywieziony tylko komendant kompanii ś. p. por. Niedzielski, który nie zdradziwszy się ani słowem, zmarł w obozie jeńców na tyfus.

Prócz tego, aresztowano i przetrzymano kilka dni Kpt. K. Majewskiego, za przechowywanie broni muzealnej, której kilkanaście

posiadanych przez niego sztuk, stanowiło od lat bezużyteczną ozdobę ścian, oraz p. chor. Kupińskiego, a już pod sam koniec wreszcie, aresztowano bez żadnego zresztą uzasadnienia por. Lisa J. komendanta kompanji t. zw. „Belwederskiej“. Szeregowców było aresztowanych kilku, lecz nazwisk nie pamiętam.



Druga grupa aresztowanych i wywiezionych do obozu jeńców.

p. Kawalec, p. Hanus, p. Bonikowska, p. Lorenc, p. Yunga, p. Kowalcówna, p. Bączalska, p. Starkiewicz, p. minister Dobrucki, p. Jasielski, p. Ochman, p. Wierzbowski, p. Pertak, p. Wencel, p. Kuryś, p. Kurekówna i inni.

Najgorsze były indagacje. System ukraiński nasyłania konfidentów i prowokatorów, był już powszechnie znany. Strzeżono się ich tedy jak ognia.

Gorzej było w więzieniach śledczych, gdzie nie liczono się z niczem i nikim. Prawo, konwencja międzynarodowa, etyka, i nawet ludzkość były zbirom ukraińskim obce. Gdy dostał się w ich ręce nieszczęśliwiec pod zarzutem należenia do tajnej organizncji, rozciągano nad nim specjalną opiekę. Głodzono, trzymano na zimnie, wreszcie bito, katowano bez miłosierdzia.

Pokrwawionego, poranionego trzymano do wyzdrowienia, a potem przeważnie internowano w wspomnianych wyżej obozach, rzadziej zwalniano, nie mogąc niczego udowodnić.

Spółeczeństwo polskie znosiło biernie i spokojnie wszystkie szykany i prześladowania, zachowując się z godnością, co irytowało władze ukraińskie i pobudzało do coraz to innych wymysłów. Wydano np. „ukaz“ mocą którego, każdy mieszkaniec musiał oddać dobrowolnie jeden komplet bielizny, na cele ukraińskiej armji. Biada temu, ktoby się od tej daniny chciał uchylić, tłumacząc się np. kompletnym brakiem bielizny. Konstatowanie stanu posiadania odbywało się znowu wiernie w stylu wszystkich bandytów świata.

Wyciągano z najodleglejszych kryjówek ostatnią choćby koszulę, no i przytem oczywiście wszystko co się mogło przydać — a dzieło wieńczyło przeważnie aresztowanie właściciela, za opór władzy.

W takiej atmosferze przeszedł styczeń i luty. Wyczekiwane wojska Polskie, nie nadchodziły. Nadszedł marzec, z nim roztopy, wylewy błoto, — a to wszystko zabijało w nas resztki nadzieji. Znając okolicę, zdawaliśmy sobie sprawę, że nadszedł moment najbardziej niekorzystny dla przebrnięcia armji polskiej a zwłaszcza artylerji przez zalane i rozmiękłe tereny naddniestrzańskie.

Mieszkańcy Stanisławowa tracili powoli wiarę w lepszą przyszłość w ziszczenie ich snów o wolności w niepodległej Polsce.



II.

PIERWSZA AKCJA ZBROJNA P. O. W.

Członkowie P. O. W. — zwłaszcza młodzież, traciła cierpliwość i wywierała na mnie presję, by wreszcie rozpocząć działać. Szeregi zaczęły maleć, gdyż coraz więcej młodzieży a nawet i oficerów, zaczęło opuszczać Stanisławów i przez Karpaty przedzierać się do armji polskiej. Wreszcie w sztabie P. O. W. zostało zaledwie 4 ludzi. Mimo zakazu wyjazdu na własną rękę trudno było rwących się do czynu powstrzymać. Obawiając się, iż jeżeli tak dalej pójdzie, przestaniemy istnieć przed możliwością jakiegokolwiek akcji, oświadczyłem w formie rozkazu, że jeśli do 1 maja nie nadciągną pod Stanisławów wojska polskie, to wówczas P. O. W. z bronią w ręku przedrze się w komplecie przez Karpaty i połączy z armją.

W istocie, było to moim zamiarem, gdyż plan ten miał widoki powodzenia, a w niczem, lub w bardzo małej mierze, narażał pozostałych obywateli.

To podziało uspakajająco na rozplomienioną młodzież. Opuszczanie szeregów zostało powstrzymane, a poszczególne kadry oddziałów uzupełnione... i wolno zaczęliśmy się przygotowywać do decydującego kroku.

Lecz plan ten siłą faktów nie przyszedł do skutku.

Przyszła chwila, w której zrozumieliśmy, że czyn nasz dokonany będzie na terytorjum własnego miasta, że moment ten się zbliża i opuścić naszej placówki nie możemy.

Nadchodził oczekiwany i mający być decydującym maj, lecz z nim, z początku pogłoski, potem coraz uporczywsze i wiarygodniejsze wieści, wreszcie twierdzenia świadków naocznych, że pod Staremsiołem wojska polskie przełamały front ukraiński i dążą w kierunku wschodnim.

Wiadomości te zelektryzowały apatycznych i omal już zrezygnowanych obywateli.

W szeregach P. O. W. powstał ożywiony ruch. Zwłaszcza oddział wywiadowczy z komendantem ppor. Dyńką był czynny

bez przerwy. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, otrzymywałem raporty przejmujące mnie i cały sztab radością i nadzieją.

Nocami wsłuchiwałem się nieraz w dalekie odgłosy kanonady — przeczuwałem, że na froncie dzieje się coś stanowczego, coś co decyduje o losie Małopolski wschodniej.

Wreszcie i pisma ukraińskie zaczęły nadmieniać o cofaniu się „w porządku“ na tylne, zgóry upatrzone pozycje.

Stan taki trwał około dwóch tygodni.

W połowie maja otrzymał sztab ukraiński wiadomość dla siebie wprost druzgocącą. Oto z Besarabji przez Rumunię, przedziera się ku Polsce dywizja jazdy — jak się później okazało, gen. Żeligowskiego.

Oddział wywiadowczy P. O. W. mający swoje czujki w ukraińskiej komendzie miasta, zdołał tę wiadomość przejąć — trochę może zmienioną i nieścisłą, ale zawsze informującą nas, że Ukraińcy nie są na wschodzie bezpieczni.

To podniosło nas na duchu i pobudziło do gorączkowej akcji i dzieła.

Postanowiłem zaczerpnąć konkretnych informacji wprost w sztabie ukraińskim, wyczuwałem bowiem, że uda nam się może niejedno uzyskać, za pewne koncesje w przyszłości.

Tu, nieocenione wprost zasługi położył jeden z członków P. O. W. mianowicie Dr. Gustaw Dobrucki, późniejszy minister oraz Dr. Maksymiljan Mondschein. Ten, jako lekarz zastępcy szefa sztabu ukr. ppułk. Bema,^{*)} ułatwiał kontakt pomiędzy nim a Dr. Dobruckim, który z kolei za pośrednictwem syna swego Jerzego, ob. Dynki i ob. Henisza, komunikował sztab P. O. W.

Ppułk. Bem zaofiarował swe usługi za cenę pozostawienia mu wolności w razie pozostania w Polsce i ułatwienia mu wstąpienia do armji Polskiej.

Oczywiście Komenda P. O. W. przyrzekła mu to pierwsze, co do drugiego zaś, ze względów zupełnie zrozumiałych, dała odpowiedź wymijającą, jednak nie pozbawiającą nadziei.

Dnia 21. maja 1919 r. zebrała się komenda P. O. W. w gabinecie dr. Dobruckiego, podczas kiedy w drugim pokoju znajdował się ppułk. Bem. Gościnnie gospodarz był łącznikiem i pośrednikiem w prowadzonych pertraktacjach.

Ze strony Komendy, postawiłem żądania:

^{*)} Bem lub Bóm

- a) wysłania ze Stanisławowa wszystkich oddziałów zbrojnych.
- b) nie wywożenia zapasów amunicji, prowiantu i materiału technicznego,
- c) cofania armji ukraińskiej z frontu w kierunku na Halicz — Niżniów po lewej stronie Dniestru, a w każdym razie pod żadnym warunkiem na Stanisławów.

Ppułk. Bem oświadczył na to, że pierwszy warunek łatwo mu przyjdzie wypełnić, — drugi nie leży w jego mocy, co do trzeciego zaś stanęło na tem, że gdyby się odwrotu armji nie udało skierować poza Stanisławów, to postara się przynajmniej o to, że przemarsze przez miasto będą się odbywały tylko nocą, i tylko z góry oznaczonymi ulicami, które P. O. W. na wszelki wypadek poprzednio obsadzi.

Ostatni warunek zupełnie nam się nie uśmiechał. Wiedzieliśmy, iż cofającą się w popłochu armję trudno będzie od ekscesów powstrzymać, a znając gorący żywioł w szeregach P. O. W. byliśmy pewni krwawych walk ulicznych.

Ponownie więc podkreśliła komenda, że trzeci warunek jest dla niej bardzo ważny, oraz, że kosztem przyrzeczonych koncesyj, powinna go uzyskać. Wreszcie Dr. Dobrucki dypłomacją swoją doprowadził do obietnicy ze strony ppułk. Bema, że będzie się o to starał wszelkimi siłami.

Nie miało więc P. O. W. absolutnej pewności — wszelka akcja przeto musiała być prowadzona z nadzwyczajną ostrożnością. Przyznać jednak trzeba, że ppułk. Bem przyjęte obowiązki w miarę swej możności wypełnił.

Być może zresztą, że nie pertraktacjom ze sztabem, lecz prostemu zbiegowi okoliczności zawdzięczaliśmy, że do dnia 25-go maja wycofano ze Stanisławowa prawie całą żandarmerję, znaczną część artylerji i piechoty. Pozostał tylko sztab, oddział sztabowy, część piechoty w koszarach na ul. 3-go Maja, drobne oddziały w koszarach artylerji na ul. Bilińskiego, wreszcie kilka patroli policji wojskowej, oraz komenda miasta.

Było to hasłem dla P. O. W., iż należy działać bez najmniejszej zwłoki.

Szeregi nasze liczyły już podówczas około 500 ludzi, w tem 22 oficerów. Broni palnej, karabinów, bądź rewolwerów, prawie na co drugiego człowieka, prócz tego, jeden jedyny wykradziony Ukraińcom karabin maszynowy.

Główna Komenda opracowała poprzednio wspólnie następujący plan: Kompanja I i IV pod dowództwem por. Hofmoka zajmują koszary przy ul. 3-go Maja, koszary przy ul. Kamińskiego, szpital wojskowy i pocztę. Kompanja II i III pod dowództwem por. Seidlera zajmują koszary przy ul. Zosinej Woli i ul. Bilińskiego, koszary przy ul. Gołuchowskiego i więzienie karne. Kompanja V i VI pod dowództwem podchor. Wł. Łozińskiego zajmują składy amunicyjne, arsenał w Unji Galicyjskiej, następnie dworzec kolejowy. Liczbowo najsłabsza Kompanja VII t. zw. „Belwederska“ pod dowództwem por. Lisa, z pomocą specjalnego oddziału żandarmerji pod komendą sierż. Bembenka, zajmują północną część miasta, w szczególności żandarmerję grupującą się w 3 budynkach, oraz Komendę Miasta.

Przewidując, iż najtrudniej będzie nam opanować dworzec kolejowy, gdzie zgromadzą się niezawodnie odjeżdżające oddziały mające do dyspozycji najwięcej broni i amunicji, wydałem rozkaz, by po udaleniu wywiązaniu się z zadań, wszystkie kompanje zdążyły w kierunku dworca kolejowego, celem wspólnego ataku, pod moją osobistą komendą.

Wspomnę jeszcze, iż Polski Komitet Narodowy — wiedząc, a raczej może intuicyjnie wyczuwając istnienie jakiejś siły, czy organizacji, która wystąpi zbrojnie, przygotował się na tę ewentualność, aby nie wchodzić w sprawy wojskowe, objąć władzę cywilną.

P. O. W. ze swej strony postawiła jedyny warunek, aby gdy nadejdzie chwila odpowiednia, usunięto dawnego burmistrza miasta dr. Nimhina, a mianowano nim Antoniego Sztygara. Co do innych stanowisk cywilnych, Komenda P. O. W. nie miała żadnych zastrzeżeń, zwłaszcza iż wiadomem było, że Komitet Narodowy dysygnował na ew. starostę, Dr. Gustawa Dobruckiego, również członka P. O. W.

Stanowiska wojskowe były zgóry przygotowane i upatrzone. Nie wiedziały o tem tylko osoby, które na stanowiska te miały być w danym momencie powołane. Powód tej konspiracji wyjaśniłem już poprzednio.

Osobiście, miałem objąć komendę miasta, gdzie koncentrować się miało główne dowództwo.

Dzień 24 maja 1919 r. był dla Stanisławowa przełomowym. Niezwykły ruch w armji ukraińskiej bieganina, pośpiech, pakowanie się, miny zaaferowane i wogóle podniecenie typowe, cechujące

zwykle armję przechodzącą w defenzywę, dawało wiele do myślenia.

Dla P. O. W. było to znakiem, że nadchodzi chwila stanowcza. Zarządziłem ostre pogotowie, które trwało cały dzień i noc z 24 na 25 maja. Rozkazy dawałem oznajmiając, iż występujemy zbrojnie, niech więc wszyscy oczekują chwili sygnału. Adjutanci, por. Bubnicki Tadeusz, i Henisz M. oraz oddział wywiadowczy z por. Dyńką Tadeuszem na czele, kursowali po całym mieście bez przerwy, od dowództwa jednego oddziału, do drugiego.

Jako mundur, służyć nam miała na lewym ramieniu biała opaska z czerwonymi inicjałami P. O. W. projektu podpor. Dyński-



Biała opaska z czerwonymi inicjałami P. O. W. zastępująca mundur (projektu Ob. Dyński Tadeusza.)

Kilka dni przed opanowaniem miasta, zajęło się grono pań szyciem tych opasek, w ilości przeszło tysiąca sztuk. Specjalnie serdecznie zajęły się tem Panie: Bonikowska, Hieniszowa, Wierzejska, Drabikowa, Staffówna, oraz Panie zrzeszone w „Mrówce“.

Przygotowania wszelkie były tak dalece porobione, że decydowałem się dać hasło do walki tejże nocy z 24 na 25, dlatego też rozkazałem już od czwartku tj. 24 być przy broni krótkiej (rewolwery) ukrytej pod kurtką, podczas gdy broń długa miała być zgromadzona na miejscach zbiórek.

W ostatniej jednak chwili postanowiłem opanować miasto nie nocą, lecz w dzień, kiedy to mogliśmy liczyć na ewentualną pomoc całej masy niezorganizowanej młodzieży, która w nocy nie miałaby możności zorjentować się, co się dzieje. Szanse więc w zajmowaniu miasta dniem były większe, pozatem pragnąłem się upewnić, w którą stronę udało się ppułk. Bemowi skierować odwrót armji.

Dnia 25. o godz. 6-tej rano, zebrała się pełna Komenda P. O. W. w mojem mieszkaniu, stamtąd przeszliśmy wszyscy do Dr. Dobruckiego, gdzie ostatecznie długi czas oczekiwaliśmy wiadomości konkretnych z ukraińskiego sztabu — aż wreszcie około godz. 10-tej zawiadomiono nas, że armja ukraińska cofa się zupełnie bezplanowo, w popłochu i rozsypce, oraz, że sztab główny i inne władze ukraińskie wyjechały cichaczem, a resztki znajdują się w budynku starostwa.

Postanowiliśmy pójść we dwójkę z Dr. Dobruckim do nich z żądaniem oddania miasta bez rozlewu krwi. Wszystkim członkom Komendy P. O. W. poleciłem postępować w pogotowiu za nami i czekać przed salą konferencyjną na ew. rozkazy.

W starostwie zastaliśmy grupę oficerów ukraińskich, rozmawiających po niemiecku.

Naszem przyjściem i żądaniem wcale nie byli zaskoczeni, żądali jednak spisywania protokołów.

Odpowiedzieliśmy im, że nie czas na to — na dalsze z ich strony zastrzeżenia, rozpiąłem kurtkę, z pod której wyrżał mundur i broń, równocześnie zaś otworzyłem drzwi, w których stanęli murem moi oficerowie komendy.

Wówczas sztab cały zmienił taktykę, prosząc poprostu, aby pozwolić jednym z nich pozostać w mieście, innym znów wyjechać dwoma autami oczekującymi przed starostwem.

Auta postanowiłem zatrzymać do dyspozycji P. O. W. nie będąc pewnym, czy uda nam się zdobyć jakie na usługi komendy. Jedno z nich zatrzymałem do swej dyspozycji i z miejsca niem wyjechałem, drugim natomiast, jak się później okazało, w zamieszaniu zdołało umknąć 4 oficerów ukraińskich.

Nie czekając już ani chwili, wydałem rozkaz decydujący. Za 25 minut tj. o godzinie 2-ej zaczynamy zajmować miasto systematycznie, według planów.

Sam musiałem stanąć na czele kompanji VII t. zw. Belwenderskiej zebranej w Sokołe "Belweder" — a to z powodu tego, iż na dwa dni przed tem, komendant tejże por. Lis, został aresztowany i więziony.

Kompanja ta składała się przeważnie z moich byłych przedwojennych wychowanków przysposobienia wojskowego.

Naogół kompanje liczyły przeciętnie po 70 ludzi. Siódma jak już wspomniałem, była najsłabsza, wzmocniona przez pluton żandarmerji, liczyła 50 ludzi.

Przeczuwałem, że mimo zapalu i niecierpliwego wyczekiwania czynu, pewien procent w ostatnim momencie zawiedzie. Rzeczywistość przeszła moje przeczucia. Pluton żandarmerji, zupełnie się nie zjawił! Musiało zająć coś bardzo ważnego, gdyż wypróbowany komendant ob. Bembenek dowodzący plutonem, był zbyt gorliwym służbistą i patriotą, by w decydującej chwili zawieść.

Reszta kompanji stawiała się z zaledwie 60 % ludzi tak, że gdy się na miejscu zbiórki zjawiłem, zastałem zaledwie około 20 ludzi uzbrojonych, lecz z minami pełnemi fantazji i nadzieji.

Na czele ich stanęli podoficerowie wyszkoleni w tymże Sokołe przed laty przezemnie. (ob. Olinger A., Pozowski M., Łukian A. i inni).

Nie było czasu na wahanie się, jako że rozkaz był nieodwołalny i ze wszystkich stron miasta miano wystąpić równocześnie lada minuta.

Gdyby nas uprzedzono, w mieście powstałby popłoch, zanim zdołalibyśmy opanować pierwsze koszary żandarmerji — wobec czego musiałem akcję VII kompanji przyspieszyć o kilka minut, aby ze względu na małą garstkę ludzi, mieć zadanie ułatwione zupełnie niespodziewanym atakiem.

Tak więc o godzinie 1 min. 55 VII kompanja „Belwederska“ pod moją osobistą komendą, zaczęła pierwsza zajmowanie miasta.

Budynek żandarmerji zastaliśmy zupełnie pusty, a pozostawiony tam posterunek zdeзорjentowany i poprostu ogłupiały.

Zaopatrzyliśmy się tam w pozostawione karabiny i amunicję a pozostawiwszy patrol na straży, pośpieszyliśmy czemprowadz na ulicę Kazimierzowską, gdzie w budynku gimnazjum była szkoła żandarmerji, oraz resztki oddziału.

Zanim dopadliśmy tam, już przyłączyło się do nas ze 20 ludzi, część opóźnionych Peowiaków, oraz trochę niezorganizowanej młodzieży szkolnej i rzemieślniczej. Na poczekaniu wydało się im opaski, których zapas miał każdy w kieszeni — i broń zbywającą, po zaopatrzeniu się w nią w pierwszym zajęтым budynku.

Wzmocnieni liczebnie, raźniej natarliśmy z obu stron na koszary. Tu spotkało nas wręcz miłe przyjęcie. Żołnierze ukraińscy ze śmiechem i widocznem zadowoleniem oddawali nam broń, bez najmniejszego oporu. Pozostawiwszy znowu posterunki, ruszyliśmy dalej. Teraz już, usłyszeliśmy na krańcach miasta strzały. Zanim dobiegliśmy do budynku Magistratu, gdzie mieściła się komenda miasta, zobaczyliśmy kilkunastu naszych Peowiaków, biegnących z drugiej strony miasta, celem zajęcia poczty.

Na odgłos strzałów i widocznego już popłochu, z komendy miasta wszystko pierzchnęło — i tak komp. VII. dotarła i zajęła Magistrat bez strzału.

W myśl rozkazu, w Komendzie miasta oczekiwałem na raporty innych kompanji. Nie długo dali na siebie czekać por. Seidler i por. Hofmokl.

Pierwszy raportował o zajęciu koszar artylerji, zakładu karne-nego i sądu, po małej utarczce w której jeden poległ ze str. ukraińskiej, kilku zaś z naszej strony odniosło rany.

Niestety dokładnych raportów od por. Seidlera nie otrzymałem, a z biegiem czasu zatarało się wiele w mojej pamięci, natomiast cytuję poniżej prawie dosłownie raport por. Hofmokla:

„W myśl planu, jeszcze przed wymarszem wojsk ukraińskich „zaczęli się zbierać w domu moim i zabudowaniach naprzeciw „koszar przy ul Kamińskiego, peowiaci I. i IV. kompanji. Rozda- „łem zgromadzoną opaski, poczem jeden z członków niejaki Fal- „kowski z karabinem w rękę, wysunął się nieopatrznie na miejsce

„widoczne. Przechodzący właśnie patrol ukraiński spostrzegł go, a jeden z żołnierzy strzelił, na szczęście chybiając.

„Dało to hasło do natychmiastowego wystąpienia.

„Rozpoczęła się strzelanina, w której ów żołnierz ukraiński został zabity.

„Wpadłem w mundurze oficerskim b. armji austrackiej, z opaską na ramieniu, wraz z podchor. Kauferem, na czele swych ludzi do koszar na 3 Maja. Tam zebrany oddział ukraiński, z bronią u nogi ze zdziwieniem przypatrywał się naszej akcji. Na moje wezwanie poddania się, odparł Komendant oddziału po chwilowym namyśle: „p. lejtenant my kydajemo orużje a oddajcie nam perepusztku do doma“.

„Rzuconą bronią uzhroili się natychmiast moi ludzie, oraz wielu ochotników, którzy przyłączyli się do nas po drodze.

„Między tymi ostatnimi był por. Dobrowlański, którego natychmiast wraz z 60 ludźmi wysłałem na pomoc walczącym koło dworca kolejowego. Drobniejsze oddziały, wysłane przezemnie celem opanowania innych obiektów, jak koszary przy ul. Kamińskiego, pocztę i szpital, spełniły swe zadanie prawie bez rozlewu krwi, mimo silnej strzelaniny.



Jedna z pierwszych patroli P. O. W. (Ob. Słowik, Tomasikiewicz Burysz, Gałuszkiewicz, Spaczyński, śp. Znamirowski. Florek T. Zimmerman, Florek Z., Wiatrowski, Dylski, ś. p. Pluskiewicz, Grudysz i inni.

„Przy dworcu głównym oddział mój połączył się z oddziałem „por. Gredzickiego, gdzie Ukraińcy stawili zacięty opór, chcąc jeszcze co się da wywieść ze sobą“.

Raporty z kompanji V. i VI. nie nadchodziły, lecz ustawiczna strzelanina, kazała nam śpieszyć im z pomocą.

Wysłani adjutanci wrócili z następującymi raportami: Dworzec kolejowy jest już prawie w naszych rękach. Ukraińcy ostatnimi wagonami usiłują wymknąć się z miasta.

Okazało się poten, że komp. V i VI przez Ob. Łozińskiego prowadzone, zajęły arsenał w Unji galicyjskiej, a zagrane powodzeniem, nie czekając dalszych rozkazów rzuciły się na dworzec kolejowy, gdzie już ob. Bembenek, wbrew rozkazowi, ze swym plutonem oraz całą masą niezorganizowanych kolejarzy, zaczął rozbrajanie. Był to właśnie powód, dla którego się nie zjawił na zbiorce. Czyń wprawdzie niekarny, lecz rezultatem rozbrajający.

O godz. 4-tej całe miasto było już w ręku P. O. W.

Równocześnie, jeden z moich adjutantów ppor. Henisz, miał za zadanie opanować drukarnię i wypuścić na miasto natychmiast pierwszy rozkaz z ogłoszeniem stanu wyjątkowego.

Jeszcze miasto nie było zupełnie opanowane, a już rozkazy, którego fotografię podaję, wśród popłochu, zamieszania i strzałów, rozlepiano po mieście.

Mieszkańcy Stanisławowa odetchnęli. W pierwszej bowiem chwili, nie zorientowani co się dzieje, uciekali naoslep i zamykali się w domach. Po rozlepieniu I-go rozkazu, stało się jasne, iż miasto jest w rękach polskich.

W Komendzie miasta zapanował ruch tak niezwykły, że nie podejmuję się nawet opisywać w porządku chronologicznym co i jak się działo.— Rozkazy padały jeden za drugim bez wytchnienia. Paniętam tylko pierwszy, jaki wydałem zaraz po objęciu miasta, a mianowicie, by dla zorientowania ludności cywilnej i równocześnie podniesienia jej na duchu, wywieszono na wieży ratuszowej czerwono-białą chorągiew.

Nigdy chyba rozkaz nie został szybciej i sprawniej wykonany! W kilka minut zaledwie, dojrzałem ze swych okien, strażaka ob. Jankowskiego, który wdrapawszy się po drabinie z dumą rozpościł sztandar narodowy.

Ukraińcy, uciekając, podpalili miasto w 2 miejscach. Zakład karny, oraz arsenał w Unji galicyjskiej. Polecilem ob. Różyccze, b. komendantowi straży pożarnej, zwolnionemu przez Ukraińców ze stanowiska za „niełojalność“ wobec Ukrainy, by natychmiast objął komendę z powrotem i rozpoczął akcję ratowniczą.

P. O. W.

Komenda miasta.

ROZKAZ Nr. 1

Z dniem dzisiejszym obejmuje Komendę miasta. Wzywam przeło mieszkańców do spokoju i bezwarunkowego poddania się rozkazom.

Władzę polityczną objął Polski Komitet Powiatowy.

Aż do dalszego zarządzenia ogłaszam

stan wyjątkowy.

Sklepy oraz lokale publiczne muszą być o godz. 7-mej zamknięte.

Od godz. 8-mej wieczorem do 6-tej rano nie wolno cywilnej ludności wychodzić z domów.

Wszelka sprzedaż napojów alkoholowych wzbroniona.

Wszelkie grabieże, gwałty, rozboje, strzelaniny uliczna karane będą doraźnie śmiercią.

Stanisławów, dnia 25. maja 1919.

Komendant miasta:

DEBLESSEM por.

Pierwszy rozkaz Komdy miasta P. O. W.

Znakomicie wywiązał się z zadania, bo jeszcze przed wieczorem obydwie pożary były zlikwidowane i ugaszone. Czyn ten podkreślam specjalnie, bowiem w obu tych zabudowaniach mieściły się olbrzymie zapasy broni i amunicji. Stłumieniem więc ognia, uratowano chyba najcenniejsze skarby owych czasów.

Tego dnia na godz. 5-tą poleciłem zwołać tych oficerów, którzy nie należąc faktycznie do organizacji, mieli zgóry funkcje obmyślane i podzielone.

Większość ich miała rangi kapitanów lub majorów — gdy więc zgłosiło się ich około dwudziestu, jakoś nieswojo było mnie, porucznikowi, wydawać rozkazy tej starszyźnie. Rzekłem więc krótko: Sytuacja postawiła mnie na czele, lecz jako rangą młodszy, oddaję obecnie komendę w ręce najstarszego, z uwagą, że ani chwili czasu nie mamy do stracenia na debaty, bo chwila jest ważna, a odpowiedzialność wielka. Ponieważ jednak wszyscy lojalnie oświadczyli, że poddają się zupełnie pod moje rozkazy, zażądałem z kolei bezwzględного posłuszeństwa i natychmiast rozpocząłem doraźne przydziały.

Kapt. Majewski Kaz. objął Kom. komp. technicznej

rtm. Macura „ „ żandarmerji

kupt, Drabik „ „ intendentury

kapt. Winter „ dowództwo dworca

mjr. Ziółkowski „ Kom. stadniny wojsk.

rtm. Szponar „ artylerji

por. Fidler i por. Majewski M. objęli Kom. policji wojsk.

sędzia Markiewicz objął sąd wojskowy

por. Strusiewicz objął Kom. gł. sił. zbroj.

podchor. Wilczyński objął werbunek, który się rozpoczął jeszcze tego dnia.

Zadanie każdego z komendantów było niełatwe, gdyż musiał sobie sam stwarzać cały aparat. Niemniej jednak większość wywiązała się z nich doskonale, zwłaszcza wobec szczęśliwej okoliczności, że materiał techniczny, zdobyty na Ukraińcach, był pod ręką, a materiału ludzkiego również nam już teraz nie brakło. Zgłosili się bowiem natychmiast omal że wszyscy kolejarze, a pozątem zapalona młodzież szkolna, z której niejednego karabinu jeszcze udźwignąć nie mógł.

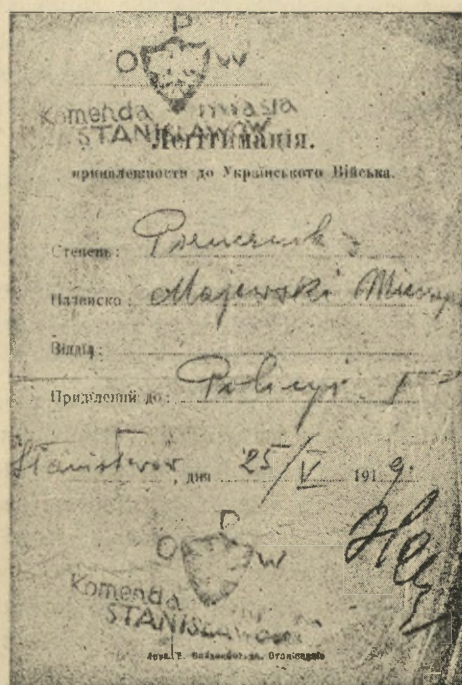
W myśl rozkazu, o godz. 8-mej tego dnia, niewolno już było ludności cywilnej pokazywać się na ulicach miasta.

Zarządziłem to z tą myślą, aby jaknajprędzej zapanował spokój i względny ład — słowem atmosfera konieczna gł. Komendzie dla skoordynowania zadań, rozpatrzenia się w sytuacji i t. p.

Rozpocząłem objazdy. Z pobieżnych obliczeń wynikało, że do dyspozycji mamy około 1000 ludzi doskonale uzbrojonych, lecz niedyscyplinowanych. Należało teraz, zabezpieczyć miasto z zachodniej strony od ew. cofającej się z frontu armii ukraińskiej, ze wschodniej zaś, od możliwego powrotu ukraińców, wypartych ze Stanisławowa, — ponadto zorganizować służbę bezpieczeństwa w samym mieście i warty przy zdobytych magazynach i składach.

Każdy żołnierz P. O. W., względnie ochotnik świeżo zaciągnięty, otrzymał doraźnie legitymację uprawniającą go do noszenia broni i pełnienia służby. Przestrzegaliśmy tego ze względu, aby się w zamieszaniu nie wkrađły w naszą organizację czynniki niepowołane.

Nie mając oczywiście na razie odpowiednich druków, zrobiliśmy świetny użytek ze znaleziorych w Komendzie miasta legi-



Pierwsze legitymacje P. O. W.
na ukraińskich blankietach.

tymacvj ukraińskich, pieczętując je godłem orła polskiego, na oczekaniu wyrzeźbionem przez ppor. Dyńkę.

Okolo 9 wieczorem, por. Grodzicki przysłał raport, że po wypełnieniu swego zadania w mieście, posunął się na czele swej kompanji dalej na wschód, zajął Markowce i Chryplin, zorganizował na miejscu pobór — prosi o żywność i ludzi. Niestety — ludzi dać mu nie mogłem, a żywność kazałem rekwirować. Mając więc swe oddziały na wschodzie, byliśmy już z tej strony choć częściowo spokojni.

Od strony frontu postanowiłem rozstawić na wszystkich drogach silne oddziały, z zadaniem rozbijania uciekinierów z frontu, zabierania sprzętu wojennego, przepuszczania ludzi wolno w kierunku swych siedzib. (Jeńców brać, nie byliśmy w możności.)

Wysyłaniem oddziałów zajął się por. Hofmokl z pomocą por. Wiktorczyka, którzy w koszarach 3-go Maja z niezwykłą zaradnością i energją tworzyli, ekwipowali, zbroili oddział za oddziałem i wysyłali na miejsca przeznaczenia.

Przed wieczorem zawiadomił mnie por. Hofmokl, iż otrzymał telefon od Komendy ukraińskiej z Cieżowa — żądają opróżnienia dworca kolejowego, w przeciwnym zaś razie grożą ekspedycją pociągu pancernego. Por. Hofmokl odpowiedział im, że mogą przyjeżdżać — czekamy.

Wobec tej groźby postanowiliśmy tembardziej silnie obsadzić i bronić linii Bystrzycy.

Najsilniej obsadziliśmy most drewniany — zaś w obawie, by most kolejowego nie sforsowano przy pomocy pancerek, poleciłem tory przed mostem rozebrać, a sam most szczelnie wagonami zatarasować.

Noc z 25 na 26 maja przetrwała Komenda bez chwili spoczynku. Troska o miasto i los kilkuset zapaleńców, przepędzała nas z miejsca na miejsce, z pozycji na pozycje. Co moment nadchodziły raporty wyolbrzymiające zagrażające niebezpieczeństwa — nic dziwnego! pochodziły od dzieci, które znalazły się w sytuacji takiej po raz pierwszy. Z czasem, wszyscy się z nią oswoili i gdy nad ranem skończyłem objeżdżać wszystkie placówki, wszędzie witano mnie rążno i z humorem. Okazało się, że dopiero o świcie zaczęły uadciągać małe grupki uciekinierów z frontu. Rozbrajano je i zasięgano języka. Na linii frontu, w miejscowościach takich jak Kałusz, Dolina itp. wiedziano zaraz tego samego dnia, że Stanisławów jest

w rękach polskich. Według opinii jeńców, główne siły cofają się na Halicz, podczas gdy inni rozbiegli się, „w którą stronę komu bliżej do domu“.

Wersja jednak, że główna armia stanowi jeszcze pewną zwartą masę i siłę, utrzymywała się uparcie jeszcze dłuższy czas.

Nocy tej, kiedy każdy ze starszych pełnił należycie swój obywatelski obowiązek — a młodzież szkolna pełna zapału, ofiarności i bohaterstwa poszła też na pierwszy zew na nic nie bacząc, zdarzył się fakt, że gromada cywilnych osób, pod płaszczykiem gorliwej służby wartowniczej, rozbiła jeden ze zdobytych na Ukraińcach wagonów z napojami alkoholowymi i urządziła na miejscu istną orgię pijacką. Raportujący mi o tem stary wyga, żandarm ob. Bembenek, oświadczył, że nie umiał znaleźć sposobu na zlikwidowanie tej „zabawy“, bo to sami znani Stanisławowianie z ob. S. na czele biorą w niej udział. Rozkazałem rzeczywiście znanego, b. poważnego i zamożnego ob. S. aresztować (nazwiska nie podaję, bo jest już na Boskim Sądzie, lecz zrobiłbym to, gdyby żył bo zasłużył na to), a zająć się całe zlikwidować bez przebiegania w środkach, choćby przyszło użyć broni.

Następnego dnia, w obecności burmistrza p. Sztygara, napiętnowałem postępowanie ob. S. w słowach, których napewno do końca życia nie zapomniiał.

Muszę na tem miejscu zacytować w dosłownym brzmieniu kilka wyjątków „z Wspomnień od listopada 1918 r. do sierpnia 1920“ działacza ukraińskiego Dr. Stefana Szuchewycza (Tłumaczenie ob. Krupki). Widać z nich, iż wspomnienia obu stron z tego samego czasu w zupełności się pokrywają. Mówiąc o ofensywie polskiej pod Mikołajowem z początkiem maja 1919 r. pisze on międzyinnemi na str. 65 co następuje:

„Rozniosły się wieści o polskiej organizacji wojskowej. Oficerowie powyciągali z kufrów swoje rewolwery, niektórzy zabrali „do pomieszkania karabiny, ażeby na wszelki wypadek być gotowym. Warunki przy naczelnej Komendzie stawały się coraz gorsze. Już nawet w Chodorowie nie było bezpiecznie pozostać. Podniesiono myśl, ażeby Naczelną Komendę przenieść do innej miejscowości“. Na stronie zaś 73 i 74 (koniec maja 1919 r).

„Nastrój jeszcze bardziej pogorszył się, kiedy ze Stanisławowa przyjechali Państwowi Sekretarze i inni urzędnicy sekretariatów, to znaczyło, że sytuacja jest rzeczywiście zła, wprost kata-

„strofalna. Niektórzy wieźli na samochodach swoje rodziny i to, co
„udało im się pochwycić, zabrać. Oni uciekali przed Rumunami.
„O zdarzeniach w Stanisławowie krążyły niestwierdzone, straszne
„i sprzeczne pogłoski.

„W końcu tegoż jeszcze dnia dostaliśmy nakaz — natychmiast
„odjechać. Rzeczywiście wieczorem pociąg ruszył i my zatrzymaliś-
„my się aż w Berezowicy — Ostrowie pod Tarnopolem

Strona 74.

„Starszyzna, która uciekała ze Stanisławowa opowiadała
„o niesłychanej, pośpiesznej i wręcz kompromitującej ewakuacji,
„a w rzeczywistości ucieczce ze Stanisławowa. Do ostatniej chwili
„nikt nie dostał rozkazu do wyjazdu, a kiedy komendanci oddzia-
„łów ogłębli się, już Państwowych Sekretarzy nie było w Stani-
„sławowie. Pouciekali, zostawiwszy wszystko.

„Kapitan Harabacz, jako komendant miasta i kapitan W.
„Szuchewycz, jako komendant oddziału technicznego, udali się do
„D. S. W. S. po wskazówki, co mają dalej robić. Przyjął ich pod-
„pułkownik generalnego sztabu Bem i powiedział, że podług jego
„zdania sytuacja jest beznadziejna. Wszystko przepadło. Strzelców
„należy rozpuścić do domu, a starszyźnie wypłacić trzymiesięczne
„pobory i niechaj każdy robi jak chce i jak umie. On dodał, że
„sam zostanie w Stanisławowie.

„Niektórzy komendanci nie posłuchali rad podpułkownika Be-
„ma i wyprowadzili swoje oddziały z miasta w porządku, inni
„posłuchali i wielką ilość strzelców (żołnierzy) rozpuścili do domu.
„Z magazynów nie wywieziono prawie niczego. Zostały zapasy
„odzieży, sukna, trzewików, słowem wszystko to, o co frontowe
„komendy tak upominały się i czego tak nie dostawało naszym
„strzelcom.

„Leżały te zasoby spokojnie w magazynach i czekały na przy-
bycie polskich wojsk“.

* * *

Świt dnia 26 V. zastał już prawie wszystkich, żądnych nowin
mieszkańców, na ulicach miasta. Zaczął się cudowny dzień pracy
i ofiarności całej ludności, ze wszystkich stron i sfer.

Przedewszystkiem grono pań z PP. Bonikowską, Fuchsówną,
Migocką, Bączalską i innemi na czele, zorganizowały kuchnię dla

wyżywienia młodych obrońców. Komenda P. O. W. zapowiedziała, iż służba w mieście będzie trwała 48 godzin bez zmian, a niemiała niestety narazie funduszków, na wyżywienie swej armji — mieszkańcy zatem donosili dzieciom swego miasta, ciepłą strawę na miejsce służby.



Grono Pań obsługujących pierwszą kuchnię «Peowiacką»
Por. Wiktorczyk w otoczeniu pp. Wierzejskiej, Kniżatkówny, Misiolkówny
i innych oraz kucharzy peowiackich.

Polski Komitet Narodowy wyasygnował 10.000 kor. na pierwsze potrzeby P. O. W. (Narazie przyjęliśmy z wdzięcznością — lecz po zaopatrzeniu się w zdobytą na Ukraińcach kasę, zwróciliśmy czek z podziękowaniem).

Burmistrz miasta p. Sztygar Antoni objął urzędowanie, stawiając do dyspozycji P. O. W. wszystko czego by nam było potrzeba, a co miasto mogło ofiarować.

Drukarnia p. Chowańca, ofiarowała się wykonać wszelkie druki, rozkazy itp. bezpłatnie, o ile nieobecny właściciel po powrocie, powstałe stąd wydatki zaakceptuje. (P. W. Chowaniec nie tylko zaakceptował, ale potem jeszcze przez długi czas za wszelkie druki nie liczył nawet kosztów własnych.

Wiele Pań zgłaszało swe usługi bądź z bronią w rękę, (w pierwszym rzędzie p. Brykczyńska) bądź w pracy kancelaryjnej — dając mężczyznom możliwość walczyć na froncie. Pracowały więc

tu bezinteresownie pp. Kurysiowa, Misiółkówna, Kowalcówna, Kopczyńska i inne.

Ofiarowywano wogóle co kto mógł i jak mógł.

Ówczesne zdjęcia amatorskie pp. Kolesy, Jakimowicza i Lewickiego — karykatury inż. Majewskiego St. — i zbiór dokumentów, rozkazów władz ukraińskich itp. sporządzony przez inż. Klemensa Weina, umożliwiły mi ilustrację niniejszego pamiętnika.

* * *

Około godziny 11-ej, zjawił się porucznik Grodzicki osobiście z raportem, że zajął Tyśmienicę i Tłumacz, uzupełnił swe siły ochotnikami z Tłumacza i okolicy — i trzyma w szachu pancerkę ukraińską, która ciągle robi wypad, zabezpieczając widocznie tyły armji ukraińskiej — wreszcie, że zamierza pójść dalej w kierunku na Niżniów, lecz stanowczo prosi o pomoc.

Zabroniłem posuwania się dalej. Nakazywały mi tak względy logiki i strategji.

Pomoc jednak w sile 100 ludzi z por. Hofmoklem na czele, wyruszyła natychmiast. Miano zabrać ze sobą dwie haubice z baterji stojącej na rampie kolejowej.

Niestety, rotm. Sponar nie zdołał jeszcze zorganizować do tych dział obsługi. Fakt ten miał doniosły wpływ na późniejsze wypadki i poniesioną, dotkliwą stratę w Pałahiczach.

Bylibyśmy uniknęli tego, mając na czas sprawnie działającą choć jedną baterję.

Por. Hofmokl objawszy dowództwo nad grupą Tyśmienica, stoczył pod Pałahiczami ciężką walkę, gdzie tak po jednej, jak i po drugiej stronie byli zabici i ranni. Pozostał tam, aż do przybycia wojsk polskich, o czem wspomnę.

(W tem miejscu pragnę zaakcentować karne i obywatelskie stanowisko por. Hofmokla nawet w momencie, kiedy swego czasu, oddawszy mu jako najodpowiedniejszemu starszeństwem i zapalem siły zbrojne pod komendą — już w godzinę po tem podporządkowałem go por. Strusiewiczowi.

Było to z pewnych organizacyjnych względów konieczne, jakkolwiek dla por. Hofmokla niesprawiedliwe.

Nie zawiodłem się na nim jednak. Pod firmą por. S. pracował z tymsamym zapalem i bez cienia urazy.

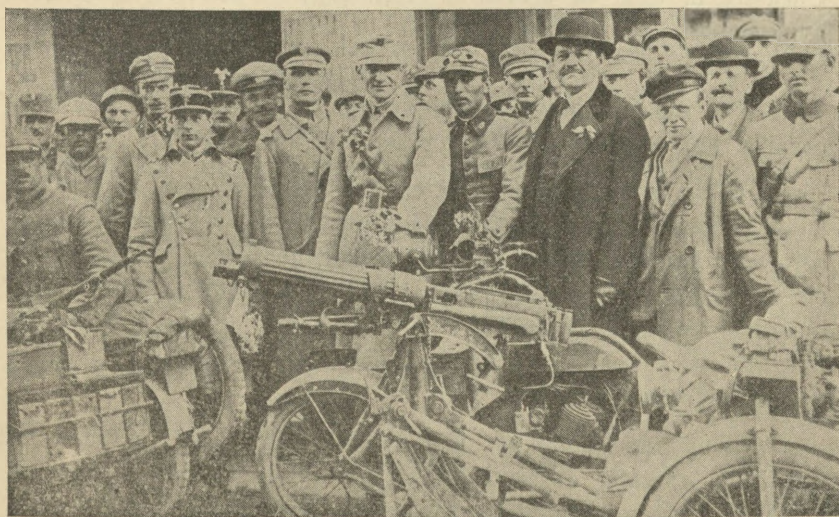
* * *

Dnia tego nawiązała Komenda P. O. W. telefoniczny kontakt z Kołomyją, a następnie z Otynią.

Z osiągniętych z trudem urywków rozmów telefonicznych dowiedzieliśmy się, że w Kołomyji doszło na ulicach do walk, a w końcu miasto zajęli Rumuni. Otyńja doniosła, że i tam są patrole rumuńskie. Zawiadomiłem natychmiast sztab rumuński, że Stanisławów jest w rękach regularnej armii polskiej już od kilku dni, i że jako komendant miasta, proszę celem nawiązania kontaktu, o przysłanie oficerów łącznikowych, na których sztafeta nasza oczekiwać będzie około godz. 1-szej popołudniu, na szosie za Chryplinem.

Wysłana kilkoma autami sztafeta P. O. W. składająca się z oficerów najlepiej umundurowanych i uzbrojonych, robiła istotnie wrażenie regularnej armii. Również porozstawiane po drodze, dobrane do ważności momentu i misji placówki, mogły się śmiało przedstawić jako regularne wojsko.

Rumuńska misja składała się z majora Patryny i porucznika Polaina, towarzyszył im oficer łącznikowy IV dywizji gen. Żeligowskiego por. Hordyński.



Misja rumuńska, przywieziona przez sztafetę P. O. W. Od lewej — adj. Henisz, Kmdt. sił zbr. por. Strusiewicz, ofic. łącznikowy IV Dyw. por. Horodyński, maj. rum. Patryna, starosta Dobrucki, por. rum. Polain, Kmdt. gł. P. O. W. Deblessem, ob. Cyga, kmdt. policji P. O. W. por. Majewski M. oraz rumuńscy podoficerowie i grono Peowiaków otaczające rumuńskie mitraliezy.

Po przywitaniu i wzajemnej wymianie relacji o sytuacji przewieźliśmy naszych gości przez miasto, wprost do restauracji „Union“, skąd po tak sutym obiedzie, na jaki się tylko zdobyć byliśmy w stanie -- i wielu serdecznych toastach na pomyślność obu armij — tąsamą drogą z tąsamą pompą, tylko może ze skwapliwością większą nieco niż na staropolską gościnność przystało, odwieźliśmy ich na miejsce spotkania.

Sensacyjne wiadomości podawane tydzień później przez dzienniki lwowskie jakoby Wojska rumuńskie wkroczyły do Stanisławowa, były poprostu kaczka dziennikarską.

Na tem skończyły się nasze z Rumunami stosunki — na szczęście! — bo kto wie? może bez tego kroku z naszej strony przyszłoby było do ew. utarczki, czy choćby zatargów, apetytów, które się tak łatwo przeradzają w pretensje..... Może ten mały incydent miał choćby równie mały wpływ na uformowanie się naszej granicy z tej strony — kto wie? Wówczas tylko dziękowaliśmy Bogu, że nie doszło do tego, by oni stali się panami sytuacji.

Byliby wówczas napewno wywieźli cały materiał zdobyty na Ukraińcach, (jak to zrobili w Kołomyji) — powtórę, przy stole dyplomatycznym mogliby zarządzać rekompensaty za uwolnienie od okupantów.....

Tymczasem, poszczególne komendy P. O. W. dokazywały czynów, nad którymi niemożna przejść do porządku dziennego.

Wybija się przedewszystkiem komp. techniczna, pod dow. kapt. Majewskiego, naprawiając i uruchamiając w ciągu kilku godzin wszystkie telefony w mieście. Dokonano remontu kilkudziesięciu aut osobowych i ciężarowych i oddano je natychmiast do użytku. Przystąpiono do naprawy uszkodzonych torów kolejowych, wreszcie rozpoczęto natychmiast rejestrację wszelkiego zdobytego materiału technicznego.

Intendentura pod kom. Kpt. Drabika, uruchomiła natychmiast piekarnię, rzeźnię, dostarczając artykułów dla szpitali, dla kuchni P. O. W. itp. oddziałów, i rozpoczęła zwożenie do miasta dzieśiątek wagonów prowiantu i ekwipunku obronionego przed wywiezieniem lub zniszczeniem przez okupantów.

Por. Strusiewicz wraz z por. Hofmoklem Czesławem, skoordynowali i ujęli w swe ręce, wszystkie zbrojne oddziały P. O. W.

i rozpoczęli regularne zajmowanie, rozbrajanie wsi i miasteczek kierując się ku Niżniowi i staczając tu i ówdzie utarczki.



Zbiórka Peowiaków bezpośrednio przed rozdaniem broni i wysyłaniem na front.

Na ulicach miasta pełniła już służbę policja zorganizowana przez por. Majewskiego M.

Por. Kubisz zbroił oddział za oddziałem, a pozatem zaczął rejestrować zdobyte działa, broń i amunicję w arsenale mieszczącym się w Unji galicyjskiej. Wszystkie oddziały naogół sprawnie wykonały swe zadania, z wyjątkiem rtm. Szponara, który nie umiał sobie dać rady z organizowaniem artylerji. Zastąpił go więc w tem ppor. Seidler H. który w przeciągu kilku godzin postawił baterję, i na jej czele wziął udział w walkach okolicznych, sekundując por. Hofmoklowi, który dowodził piechotą.

I władze cywilne nie dały się wyprzedzić. Na zarządzenie starosty ob. Dobruckiego, uruchomiono natychmiast wszystkie urzędy, obsadzając je urzędnikami polskimi.

Na czele urzędu skarbowego stanął radca Kuryś i Lityński. Poczte objął dyr. Buczek, dyrekcję kolejową inż. Prachtel Mora-
wiański. Na czele Miasta stanął ob. Szytgar Antoni, a pierwszą jego troską była aprowizacja miasta, którą z pomocą intendenty P. O. W. natychmiast uruchomił.

Gazownię prowadził dyr. Dziurzyński Antoni, który w braku węgla produkował gaz z gazoliny zdobytej na Ukraincach.

Usilnem staraniem komendy P. O. W. było nadać miastu pozór zupełnego spokoju i normalnego ruchu. Nakazano więc wszystkie sklepy otworzyć, kawiarnie i restauracje uruchomić, a miasto przybrać flagami o barwach narodowych.

Jakkolwiek rozkazy były w lot podchwytywane i wykonywane, to jednak mieszkańcy byli dalecy od spokoju wewnętrznego. Żywiono nadzieję, że armja polska w parę godzin po wyparciu Ukraińców nadejdzie, tymczasem już drugi dzień dobiegał końca, a jeszcze żadnych znaków życia i dążenia upragnionych wojsk nie było. Główna Komenda P. O. W. była niemniej niespokojna, świadczyło to bowiem, że front utrzymuje się jeszcze, a więc grozi nam stale odwrót całej armji ukraińskiej przez miasto. Celem uspokojenia obywateli, rozpuszczaliśmy pogłoski, że armja polska jest już w drodze do Stanisławowa i najdalej nocą nadejdzie.

Tchórzliwsi prawicowcy jak pp. Wierzejski, Cyga i inni, do późnej nocy indagowali Komendę zasypując ją istnym kołowrotem pytań jednych i tychsamych — czy armja istotnie zdąża?.... czy napewno?.... kiedy wreszcie będzie?....? i jakby w rodzaju przygany i wymówki zaczęły się pojawiać zdania, że P. O. W. nieopatrznie, zawcześnie wystąpiła.

Uspokoilem ich twierdzeniem, iż gdyby nawet groziło większe niebezpieczeństwo, to w obecnym stanie jesteśmy w możności bronić się w mieście nawet kilkanaście dni — w najgorszym zaś razie będę wisiał pierwszy, za mną cała Komenda, a zanim przyjdzie kolej na „spokojną“ ludność cywilną, wojska Polskie będą już w mieście — niechże więc śpią spokojnie.

Po tych argumentach już się Ojcowie miasta do nas w tej sprawie nie zwracali. Były widać wystarczające.

* * *

Z frontu tymczasem, nadciągały coraz liczniej i częściej oddziały i grupy. Bez większego oporu dawały się rozbrajać i udzielały wyjaśnień. Stale utrzymywało się twierdzenie, że armja ukraińska jest tylko częściowo rozbita, lecz pokaźne jeszcze główne siły, cofają się w zwartych szeregach za Dniestr.

* * *

Noc z dnia 26 — 27 minęła naogół spokojnie, jeśli się tak wyrazić można. Zdenerwowanie bowiem z powodu braku jakichkolwiek wieści o naszej regularnej armji i konieczność ciągłej wytężonej uwagi na wszystkie strony, nie pozwalała Komendzie P. O. W. myśleć o jakimkolwiek wypoczynku.

Poza kilku usiłowaniami grabieży zlikwidowanymi przez żandarmerję P. O. W. i kilku awanturami w następstwie których musiano przeprowadzić w domach ukraińskich rewizje za bronią, nie notowano nic szczególnego.

Nad ranem zrobiłem przegląd zdobytego materiału wojennego. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy, iż taka moc sprzętu dostała się w nasze ręce. Ogromne zapasy broni, amunicji, karabinów maszynowych, dział ciężkiego i lekkiego kalibru, materiału wybuchowego, uprząży, siodeł, koców, materiału technicznego, jak telefonów, sprzętu mechanicznego, samochodów, maszyn wszelkiego rodzaju, skóry, obuwia, bielizny, tytoniu, maki, cukru itd. Wszystkiego było wagonami całemi, pozatem stadnina państwowa (24 sztuk ogierów i klaczy) — wreszcie kilkadziesiąt tysięcy koron gotówki, zamykało naszą realną zdobycz wojenną.

Wykazy całego zdobytego materiału zebrane i spisane oddałem następnie Naczelnemu Dowództwu w Warszawie. Trudno dzisiaj wszystko to ocenić, sądzą jednak, że nie mylę się przypisując temu wartość nawet przy dzisiejszej walucie, kilkumilionową. Byliśmy dumni i uradowani, że tyle majątku będziemy mogli oddać wojsku polskiemu.

Dzień 27. V. rozpoczął się pod znakiem grozy i bolesnych strat dla P. O. W. Doszła nas bowiem wieść straszna — nadzieje że zmyślona, rozwił niestety urzędowy raport, że patrol polski wysłany na stację Pałahicze, został przez załogę wspomnianej pancernki ukraińskiej pochwycony i w bestjański sposób wymordowany.

Jeden z naocznych świadków, należący do patroli ob. Lizoń, — znany na bruku Stanisławowskim sprzedawca gazet i człowiek ułomny, niemogący się wyśłowić, zdołał zbiec i opowiadał nam jak umiał, że osaczono ich, pojmano, kazano wykopać groby, a następnie po kolei bestjańsko mordowano. Jak dalej wspomnę, relacja była wierna jakkolwiek grozą przejmująca.

Szczegóły tego tragicznego wypadku doszły nas znacznie

później, gdy drugiemu naocznemu świadkowi obywat. Dąbrowskiemu, udało się uciec i przedostać do nas ze szpitala z Czortkowa. Ocalenie swe zawdzięczał on jedynie przypadkowi, że wśród napastników znalazł się były pracownik jego ojca, który niemogąc wprawdzie zapobiec biciu i kaleczeniu syna swego byłego pracodawcy, zdołał przynajmniej „odłożyć“ moment ostatecznego zamordowania go, a nawet skłonić towarzyszy do przetransportowania jeńca do Czortkowa, gdzie jako silnie poranionego umieszczono w szpitalu.

Przytaczam tu jego dosłowne opowiadanie:*)

»Dnia 27 maja b. r. doszliśmy w 24. ludzi pod dowództwem porucz. »Głowackiego z Tyśmienicy do Pałahicz. Tutaj dwunastu z porucz. odeszło »do Tłumacza, zabierając ze sobą karabin maszynowy. Pozostało do pilnowania stacji dwunastu pod dowództwem chorążego Rostka, który usadowił się »w wagonie z uprzężą.

»Porozstawiano warty. Jedną z nich objął Lizoń Adolf, Dreher, ja i 6 »innych, siedzieliśmy w salach stacji odpoczywając. Warta nie ostrzegła przed »zbliżającym się pociągiem pancernym, który odrazu zaczął ostrzeliwać. Rusini, a byli to w przeważnej części kolejowcy, zeszli z pociągu i poczęli »okalać stację.

»Nie było gdzie uciekać tym, którzy znajdowali się w środku pierścienia. Dopiero w czasie zamieszania przy zamykaniu pierścienia uciekł ob. »Kopkowicz z tylnej watry, ob. Dreher i ob., którego nazwiska nie pamiętam. »Ci uciekając, sztrzelali do goniących ich patroli. Dreher zranił ruskiego »rucznika (Niemca) w pierś. Pozostali towarzysze rzucili się do ucieczki przez »pole, Rusini zaś za nimi z głośnymi okrzykami. Ja i ob. Olszewski skryliśmy się na strychu stacyjnym, Olszewski uciekł przed przelatującymi kulami »w kąt za drzwiami. Znaleźli go Rusini i spytali co tu robi. Zbity w okropny »sposób kolbami, wyznał, że idzie ze strychu, a wreszcie że jeden tam pozostał. Rusini wpadli na strych i poczęli mnie ostrzeliwać, nie zbliżali się jednak »do mnie, bo miałem w ręku ręczny granat. Postrzelony prócz Drehera »rucznik zaszedł mnie od tyłu. Zraniłem go w rękę. W końcu przecie ściągnięto mnie z belkowań na ziemię i zbito okropnie kolbami. Na to nadbiegł »znajomy mój rusin (nazwiska nie podaję z pewnych względów) i wyrwał mnie z rąk katów. Ze strychu wyniósł mnie do pancernego pociągu i tam »spotkałem się z połapanymi towarzyszami. W pociągu zdarto ze mnie buty, »zrabowano zegarek i pieniądze, wogóle co miałem przy sobie. Grozili nam »wśród urągów i kopnięć, że nas rozstrzelają. Lizoń był z nami aż do ostatniej »chwili. Wtedy dopiero (w sobotę) dostał 25 nahałów, potem puszczono go »wolno. Miano go za »niespełna rozumu«, bo kolejarz Jajecznik mówił często »do niego »ty durny Dolku« — Wszystkim nam powiązano ręce, niektórym »i nogi, gdy który spragniony żądał wody, odpowiadano: »krwi się napijesz«. »Szczególnie zażarci byli kolejarze ruscy, którzy grozili kapitanowi kozackiemu.

*) Znicz z dnia 15. VI. 19. Nr. 59.

»zastrzeleniem, jeśli nie da złapanych zamordować. Zawieźii nas na most
»w Niżniowie. Tu przez trzy dni nic jeść nie dawali. Po trzech dniach kazali
»nam kopać sobie groby. Przez cały ten czas znęcano się okrutnie. Na Dę-
»bonia rzucił się fajecznik, przerznął mu prawą rękę nożem, zdaje się że skórę
»chciał zedrzeć, czy tego dokonał nie widziałem. Dęboń prosił o księdza; na
»to żądanie fajecznik bił go po plecach i głowie żelaznym drągiem. Wtedy to
»pewnie żebra połamał. Deniszczuka uderzyli kolbą w głowę, gdy padł dobili
»go strzałami. Wogóle pastwiono się nad jeńcami dopiero po przytłoczeniu
»ust kolanami, z powodu czego mieli zdaje się niektórzy z mordowanych
»szczęki połamane i pogruchotane zęby. Na szczęście dla mnie, nadszedł
»w tym czasie wspomniany już wyżej kolega i zaprowadził do sanitarnego
»wozu tu dopiero opatrzone mnie po raz pierwszy. Reszta mych towarzyszy
»pozostała na miejscu ze swymi katami, a ja tymczasem odjechałem do Czort-
»kowa. Tu leżałem w szpitalu wraz ze wzmiankowanym kolegą, rannym w nogę
»i ów opowiadał mi, jak strasznie znęcano się nad ofiarami. Kraśnickiemu
»miano za życia wyciąć genitalia. W szpitalu ukrywał mnie i trzech legioni-
»stów, Polak, lekarz z klasztoru. W piątek przyszli Polacy. W niedzielę jed-
»nak uciekliśmy o godzinie 1/2 11., a o godz. 1/2 1. wrócili już Rusini. Ich
»patrole goniły za nami. Na koniach kozackich dotarłem z legionistami wspo-
»mnianymi do Buczacza, stamtąd do Stanisławowa pociągami.

(Dąbrowski ma rozbitą kolbą głowę w 2 miejscach oraz jedną ranę od bagnetu. — Przyp. Red.)

Dnia tego Komenda P. O. W. postanowiła zdobyć za wszelką cenę konkretne wiadomości o armji polskiej. Jedną z hipotez należało utwierdzić: albo armja wskutek wielkich wiosennych błot ma trudności w przeprawie, albo niemając pewności czy Ukraińcy w okolicy Stanisławowa nie przygotowują jakiejś większej zasadzki, posuwa się b. powoli i ze zdwojoną ostrożnością.

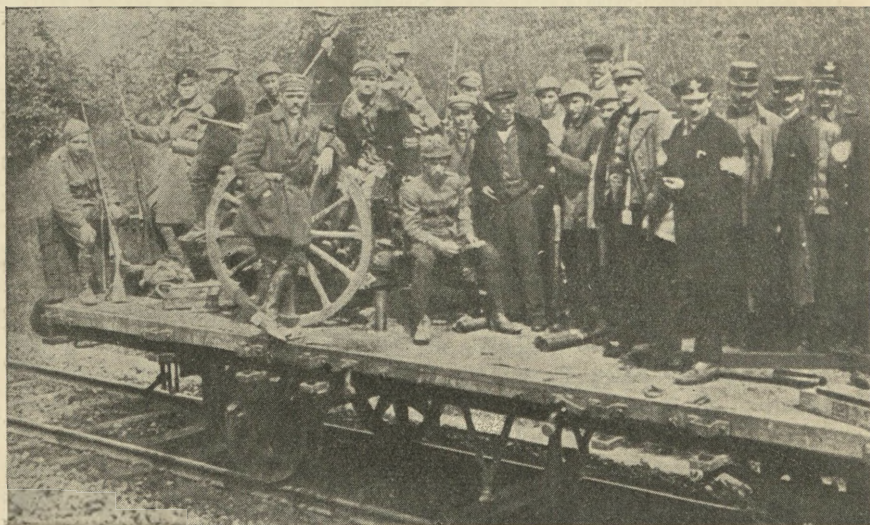
Wydałem więc rozkaz zbadania linii kolejowej Stanisławów — Kałusz, ewent. dotarcia do oddziałów wojska Polskiego, albo wreszcie przekonania się, gdzie i czy jeszcze znajdują się wojska ukraińskie.

Natychmiast zestawiono prowizoryczną „pancerkę“ dobrano wytrawny i śmiały oddział, oraz zaopatrzone się w jedno lekkie działo i kilka maszynowych karabinów.

Na czele ekspedycji stanął pchr. Kupiński. Pancerkę przybrano w chorągiew o barwach narodowych, aby łatwiej zorientować polskie oddziały, jakie miano nadzieję napotkać. Parowóz prowadził zgłosiwszy się na ochotnika, maszynista Józef Fiszer.

Pchr. Kupiński miał poleconą jaknajdalej idącą ostrożność i posuwanie się krok za krokiem, z badaniem najbliższej okolicy i szosy wzdłuż toru. Dlatego też nie oczekiwaliśmy szybkiego powrotu ekspedycji.

W międzyczasie napływały do komendy różne wieści pochodzące od osób rzekomo wiarygodnych. Przeważnie były to informacje, że tam i tam w tej i owej wsi przygotowują Ukraińcy zbrojny odwet, i już lada godzina mają uderzyć na Stanisławów.



Improwizowana «pancerka» P. O. W. przed wyjazdem na zbiady.

Ze względu na powagę osób donoszących, i „znających“ nawet dokładnie nazwiska prowodyrów — traktowaliśmy te wieści poważnie, a ppor. Dyńko rozesłał natychmiast swe wywiady. Okazały się wszelkie te pogłoski bezpodstawne, niemniej jednak denerwowały uginającą się ze zmęczenia, przepracowaną Komendę.

Okazywało się niezmiennie, że alarmy te podnosili ludzie, którzy cierpnąc o swą skórę, a sądząc, że P. O. W. przestało się przejmować bezpieczeństwem ludności, chcieli w ten sposób pobudzać Komendę do coraz to większej, choćby zadaleko posuniętej ostrożności. Stwarzali wizje niebezpieczeństw i pod wpływem obłędnego strachu wierzyli w nie. Doszło do tego, że zabroniłem przyjmowania jakichkolwiek doniesień od ludności cywilnej, choćby składanych w najszczerzej intencji. Bądź co bądź sugerowały one moich zuchów, tak że dochodziło nieraz do incydentów humorystycznych. Dano mi znać np. tego właśnie dnia, że przybył na koniu jeden z oficerów z raportem niecierpiącym zwłoki. Musi to być istotnie powód nie lada, skoro aż oficer z placówki bojowej przybywa.

Raportuje mi nie mogąc tchu złapać, przerywanym głosem, że od zachodu, z góry Pawełczańskiej, po obu stronach szosy zdąża ku Stanisławowowi tyraljera, szosą zaś pędzi kawalerja.

Naoczny świadek był dostatecznym argumentem, aby sprawę uznać za bardzo poważną.

Zarządziłem natychmiast alarm całej stojącej w tej chwili do dyspozycji siły zbrojnej. Na czele ekspedycji stanąłem sam i zanim nadejdą piesi, zmobilizowałem pomoc doraźną. Dwa auta, Kom. miasta i Gł. Komendy sił zbrojnych, zabrawszy po 2 karabiny maszynowe i pod ręką znajdujących się oficerów, wyruszyły pełnym gazem w kierunku Pawełcza. W drodze połączyliśmy się z por. Hofmoklem, który również zorganizował taką samą pomoc.

Wyjazd takiej ekskursji z koszar na ulicy 3 maja, wywołał popłoch wśród udręczonych niepewnością mieszkańców — rozumowano bowiem słusznie, że jak cała komenda w takim pośpiechu gdzieś dąży, to musi być źle.

Przybywszy na miejsce, zastaliśmy oficerów wyraźnie zakłopotanych i zawstydzonych, a dzielnych Peowiaków z minami mocno rzadkiemi.... lecz ustawionych w szyku bojowym „na wszelki wypadek“..... Bo ta groźna tyraliera i pędząca kawalerja, okazała się tylko pędzącymi na koniach, stado bydła, pastuchami. Bydło najwidoczniej spłoszone, podnosiło uciekając, tumany kurzu.

Zbiegiem okoliczności ukazała się po jednej stronie szosy „tyraljerka“ t. j. długi łańcuszek spokojnych robotników rolnych wracających z pola.

Trudno było incydent ten traktować inaczej, jak jako zwykłe nieporozumienie. Zupełnie się za moich zuchów nie wstydę, bowiem tego rodzaju wypadki zdarzały się niejednokrotnie nawet w armjach regularnych, a tu miało się przecież do czynienia z ochotnikiem młodym i niedoświadczonym.

Po powrocie z eskapady czekały nas wiadomości, będące sowitą nagrodą za chwilę niepokoju i balsamem na nasze stargane niewyraźną, niepewną sytuacją, nerwy.

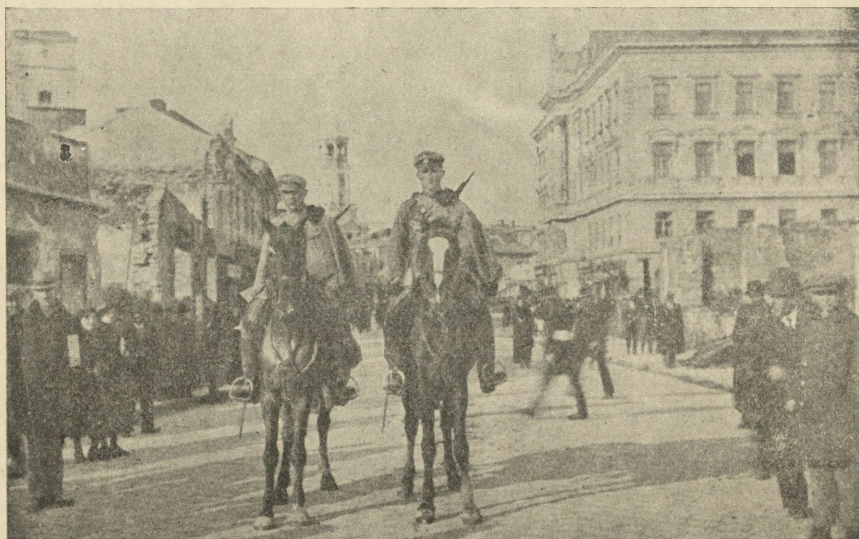
Pchor. Kupiński wrócił z pancerką nietylko szczęśliwie, lecz przywiózł ze sobą lotną komp. Wojska Polskiego, z kpt. Maczkiem na czele. Spotkali ich nasi na drodze z Kałusza, zdążających co sił ku Stanisławowowi.

Można sobie wyobrazić obopólną radość z tego spotkania!

Z naszej strony nic dziwnego — ze strony zaś kpt. Maczka o tyle zrozumiała, że jak się później dowiedzieliśmy, ambicją jego było, aby się do miasta dostać przed wysłanym również inną drogą, patrolu ułanów.

Tak więc, kapt. Maczek był pierwszym żołnierzem Polskiej Armji regularnej, który przybył do Stanisławowa.

Ale i ułani nie dali na siebie długo czekać. Już około godz. 4 popoł. przybył od strony Pawełcza patrol z sierż. Opalką na czele.



Pierwszy patrol ułanów W. P. na ulicach m. Stanisławowa.

Miasto odżyło! Zaroily się ulice, rozjaśniły twarze — każdy na własne oczy chciał zobaczyć pierwszy patrol Polskiego Wojska i powitać dzielnych chłopaków!

A Komenda P. O. W. — ? Ta, napewno witała nadciągających ułanów najradośniej i z największą ulgą.

Wyjechaliśmy na spotkanie pierwszego szwadronu, który pod komendą rotm. Borkowskiego, stanowił straż przednią zdążającego 9. pułku ułanów pod dowództwem rotm. Jampolskiego.

Jadąc autem przed nimi nie byliśmy w stanie ani na chwilę odwrócić oczu od tych długich kolumn, prowadzonych przez oficerów o rozradowanych twarzach.

Idą za nami! Są wcieleniem stuletnich dążeń, walk i poświęceń naszych ojców — dla nas zaś, tak świeżo z okupacji wyzwolonych, są symbolem Zmartwychwstałej Ojczyzny i najlepszym dokumentem, że..... „nie zginęła“!

Niosą nam zapewnienie życia, mienia i wolności — mówią o tem, że nie poszły żadne wysiłki na marne.

Ludność zgromadzona tłumnie obrzuciła ich pękami bzu. Pierwsze oddziały ułanów idące tuż za naszym autem, zasypane formalnie kwiatami, obrzucały kurtuazyjnie i nas i już tak w tej powodzi bżów dotarliśmy do koszar na ul. Ułańskiej.



Szwadron ułanów W. P. witany przez posterunki P. O. W. przejeżdża most na Bystrzycy.

Okolo 9-tej w restaracji Akermana, urządziliśmy dla przybyłych oficerów przyjęcie. Niestety, siły już mi przestawały dopisywać. Nawet słów powitania nie byłem w stanie wygłosić. W imieniu więc Komendy zrobił to jeden z adjutantów, ja zaś opuściwszy zebranie, w parę minut potem — nierozbierając się nawet, momentalnie usnąłem. — Od szeregu dni i nocy był to mój pierwszy sen.

Okolo północy, nadciągnęła 1. bateria 11 p. artylerji polowej, pod Komendą stanisławowianina por. Mołodyńskiego.

Dzień następny, był dniem radości, i witania armji Polskiej.

Od sztafet przednich wiedzieliśmy, że zdąży do nas dywizja gen. Aleksandrowicza, postanowiliśmy go więc godnie przyjąć.

Pierwszy zdażył przyjść innemi drogami od strony Halicza gen. Brygady, Kralicek-Krajewski. Prócz mnie jako komendanta, nie przyjął nikogo i nie chciał przyjąć żadnych powitań. Był to akt kurtuazji dla gł. dowodzącego, który miał lada chwila nadjechać od strony Kałusza. Istotnie wysłane patrole dały nam około godz. 11 znać, że sztab dywizyjny z gen. Aleksandrowiczem minął już Cieżów i zdąży ku nam wraz z całą dywizją.

Natychmiast wyjechałem w towarzystwie por. Strusiewicza naprzeciw, i na górze Pawełczańskiej spotkaliliśmy się.

Po zameldowaniu u gen. Aleksandrowicza por. Strusiewicza jako Komendanta sił zbrojnych, a siebie jako komendanta miasta, oraz po wymianie gorących słów powitania z naszej, a uznania ze strony generała, zaprosiliśmy go wraz z szefem sztabu, majr. Tyszkiewiczem do naszego auta, jechał bowiem dość niewygodną bryczką. Po drodze zdaliśmy bardzo treściwie sprawę z przebiegu zmagañ Peowiackich, podczas tych kilku dni.

W mieście, wśród powitań i okrzyków, którym końca nie było, dotarliśmy do Starostwa, gdzie nastąpiło powitanie ze starostą Dobruckim.



Przyjazd i powitanie gen. Aleksandrowicza.

Nadchodzące tymczasem szeregi pierwsze, dziesiąte, i setne rozlokowano po pustych koszarach stanisławowskich tak wygodnie, że armja czuła się jak w starym garnizonie.

Dnia tego wydałem zezwolenie przebywania na ulicach miasta do godz. 10 wieczór, co się potem utrzymało przez długie tygodnie.

* * *

Następnego dnia zgłosiłem się wraz z por. Strusiewiczem u gen. Aleksandrowicza i zdałem dokładnie sprawę z akcji P. O. W. Wspomniałem i podkreśliłem między innemi, że wszelkie wiadomości o armji ukraińskiej, głosiły niezmiennie o jej tylko częściowym rozbiciu — główne siły natomiast przeprawiły się podobno przez Dniestr i cofnęły w kierunku na Niżniów — Buczacz.

Generał wysłuchał tego w milczeniu i ze spokojem — obecny zaś przy tem szef sztabu, major hr. Tyszkiewicz, machnąwszy lekceważąco ręką powiedział, że to tylko plotka — armja ukraińska rozbita jest w puch, niema po niej ani śladu.

Nie przekonało mnie to. Powoływałem się na zgodne zeznania wszystkich rozbrojonych żołnierzy ukraińskich — i więcej, por. Strusiewicz wskazał na fakt, że oddziały P. O. W. stojące już blisko Niżniowa, trzymały wciąż w szachu tylne straże Ukraińców.

Mjr. Tyszkiewicz poklepał mnie na to protekcyjnie po ramieniu, mówiąc:..... „no, no! bądźcie już spokojni, powtarzam, armja ukraińska już nie istnieje, a strachu napędzają wam widać tylko jakieś niedobitki.....“

No tak..., zdecydowany czyn naszego P. O. W. zakwalifikował nas tylko jako takich, którym „napędzają strachu“ lada niedobitki.....

Jako żołnierz przywykły do subordynacji, przełknąłem ton i fakt zbagatelizowania naszych uwag, pozwoliłem sobie tylko nadmienić, że dywizja za jedyną straż przednią, ma obecnie P. O. W. pod Niżniowem.

Miałem na myśli właśnie oddział por. Hofmokla pod Pałahiczami, który od szeregu dni ścierał się z tylnymi strażami ukraińskimi. Jak mi następnie raportował por. Hofmokl, dnia 30 przejechał przez Pałahicze Baon 18 p. piechoty, pod dow. Kapt. Kardernuszki, z baterją haubic polowych, z zadaniem zajęcia przyczółka mostowego Niżniów. Dnia tego dotarł tam rozkaz wycofania oddziału P. O. W. lecz por. Hofmokl na usilną prośbę kapt. Kardernuszki, pozostał jeszcze jeden dzień na posterunku. Okazało

się bowiem, że zdobycie przyczółka mostowego własnymi siłami nie było do przeprowadzenia.

Zaraz następnego dnia po raporcie u gen. Aleksandrowicza otrzymałem rozkaz natychmiastowego zlikwidowania P. O. W. — bezwłocznego ściągnięcia wszystkich wart i posterunków itd.

Z komendantów, mieliśmy pozostać tylko ja, jako kom. miasta, kapt. Majewski jako kom. komp. technicznej, oraz kapt. Winter, jako komendant dworca.

Udałem się ponownie do gen. Aleksandrowicza i oznajmiłem, że posiadany, olbrzymi zdobyty przez nas majątek, pragnę protokularnie podług spisu oddać wojsku polskiemu — nadto pozwoliłem sobie zameldować, że magazynów nie można tak bez wart zostawiać, muszą więc posterunki P. O. W. być stopniowo przejęte przez posterunki Wojska Polskiego.

Zignorowano mnie i tym razem. Rozkaz brzmiał niezmiennie sucho i nieugięte. Kłuły w oczy wyrazy „natychmiast i bezzwłocznie“. I nic, ani jednego cieplejszego słowa uznania czy podzięką dla tych chłopczyków, co bez żołądu, bez jadła, często bez butów ale z zapalem i męstwem spełnili to, co uważali za swój obowiązek.*)

Że stanęli w poprzek ambicjom dywizji, pragnącej dla siebie tylko zasługi zdobycia Stanisławowa, to nie umniejsza jednak ich ofiarności i bohaterstwa! ani żadna zakulisowa robota nie powinna była wpłynąć na to, żeby przy odejściu nie powiedzieć tym dzieciom „spełniliście swój obowiązek — Ojczyzna Wam za to jest wdzięczna“ — nie więcej, bo nie dla pochwał, nie dla zysków ani sławy walczyli — ale przecież słowa uznania dla tych żołnierzyków byłyby największą nagrodą.

Jak przypuszczałem, likwidacja P. O. W. była inspirowana. Rtm. Macura, który mając swego czasu w P. O. W. komendę żandarmerji nie umiał dać sobie z tem rady, — kierowany czy to zawiścią, że zastąpiono go kim innym, czy wreszcie swemi prawicowemi przekonaniem, złożył raport szefowi sztabu, opiewający, że organizacja składa się z samych dzieci nieumiejących nawet obchodzić się z bronią, wobec czego ludność jest stale zagrożona niebezpieczeństwem wypadków itp., że należałoby więc organizację tę jaknajprędzej rozwiązać.

*) Podobno w jednym z rozkazów wewnętrznych gen. Aleksandrowicza, było kilka pochlebnych słów dla stanisławowskiej P. O. W.

Niestety, rozkazu tego ani ja ani nasza organizacja — nie otrzymaliśmy, a pogłoszek o wydaniu tegoż, nie udało mi się sprawdzić.

Rozkaz padł i na to rady nie było, trzeba go było wypełnić, lecz bądź co bądź musieliśmy nadać tej likwidacji pewne cechy przyzwoitości i form.

Zajął się tem komendant sił zbrojnych P. O. W. por. Strusiewicz. Zebrał na dziedzińcu koszar przy ul. 3-go Maja całą organizację i tam w obecności Komisarza miasta p. Antoniego Sztygara, w gorących słowach pożegnał towarzyszy broni. Komisarz miasta p. Antoni Sztygar ze swej strony również serdecznie dziękował młodzieży za obronę Stanisławowa, a po uregulowaniu się



Dziękczynne przemówienie burmistrza Sztygara podczas rozwiązania P. O. W.

stosunków i powołaniu Rady miejskiej powzięła, ta ostatnia na wniosek ob. Wilczyńskiego uchwałę, którą w całości przytaczam.

Komenda P. O. W. mając swobodniejszą głowę postanowiła wraz z władzami wojskowymi przeprowadzić ekshumację zwłok pomordowanych 7-miu towarzyszy broni, przywieźć je do Stanisławowa i pochować w wspólnej mogile.

Komisja sądowo lekarska sporządziła z oględzin zwłok protokół, który podaję w dosłownem brzmieniu: *)

»Celem sprostowania potwornych pogłosek krążących o śmierci ofiar z pod Pałahicz z jednej strony, z drugiej zaś celem stwierdzenia, że z ofiarami temi postąpiono w sposób bestjałski, podajemy poniżej odpis urzędowego protokołu oględzin zwłok:«

*) Znicz Nr. 58 z dnia 12. 6. 1919 r.

»Protokół z sądowo-lekarskich oględzin zwłok 7-miu członków Polskiej Organizacji Wojskowej zamordowanych przez Ukraińców w okolicy Niżniowa z końcem maja 1919 r.«



Do

Polskiej Organizacji Wojskowej

STANISŁAWOWIE.

na ręce p. Komendanta porucznika Antoniego DEBLESSEMA.

Rada miasta Stanisławowa na posiedzeniu dnia 2. lipca 1919. r. uchwaliła wyrazić Polskiej Organizacji Wojskowej w Stanisławowie i ustanowionej przez nią Komendzie miasta za pełną poświęcenia obronę miasta i jego mieszkańców w czasie przed nadejściem Wojsk Polskich gorące podziękowanie i wyrazy wdzięczności.

O czem P. Porucznika jako pierwszego Komendanta miasta z przyjemnością zawiadamiam, upraszając Go o podanie niniejszego podziękowania Komendzie i wszystkim Członkom Polskiej Organizacji wojskowej.

Magistrat m. Stanisławowa
dnia 5. lipca 1919. r.

Komisarz rządowy.



adm. J. Jędrzejewski

Uchwała dziękczynna Rady Miejskiej Komendzie P. O. W.
za obronę miasta.

Obecni z ramienia Sądu polowego: Mjr. Rutka Gustaw i porucz. Zdzisław Janicki, jako lekarz: dr. Stanisław Kubiszał, jako świadkowie: Bubnicki Tadeusz i Kappy Wiktor.

Zwłoki śp. zamordowanych przewieziono z Niżniowa w wagonie kolejowym na dworzec w Stanisławowie — trumny prowizoryczne — ciała w zupełnym rozkładzie tak, że agnoskowanie nawet przez najbliższą rodzinę zamordowanych, napotyka na wielkie trudności.

1) Isak Piotrowicz z Tyśmienicy, lat 20, rozstrzelany, rana postrzałowa ponad lewem okiem w czoło. oczy zawiązane szmatą. (Agnoskował brat śp. zamordowanego Kajetan).

2) Rudolf Kątki ze Stanisławowa, lat 18, oczy zawiązane, lewy kącik ust rozdarty, 3. 4. i 5 żebro po lewej stronie złamane, rana postrzałowa w serce. (Agnoskowany przez siostrę Eugenję).

3) Stanisław Kraśnicki, oczy zawiązane, 3 rany postrzałowe, jedna w serce, dwie na wysokości 8 i 10 żebra w linii pachowej, lewej, przedniej. (Agnosk. Bolesław Kappy).

4) Franciszek Pokój, ślusarz kolej. ze Stanisławowa, lat 28, 2 rany postrzałowe nad prawem okiem i w czoło, środek głowy.

5) Olszewski N. student — granatowa bluza o aksamitnych wyłogach, kamizelka granatowa w białe paski, buciki sznurowane, twarz okrągła włosy ciemno blond. Rana postrzałowa pod prawem okiem, druga nad okiem lewym.

6) Stanisław Dęboń, oczy nie zasłonięte, rana postrzałowa po lewej stronie klatki piersiowej na wysokości 3 żebra, żebra połamane. Staw nadgarstkowy lewy kompletnie złamany, prawa ręka wskazuje rozległe podbiegnięcia krwawe, lewy staw nadgarstkowy zraniony od ułucia bagnietem. (Agnoskowany przez Aleksandra Smagowicza i Stanisława Jaskierskiego.)

7) Deniszczuk Józef, lat 22 okazuje na szczycie głowy nieregularny otwór skóry, przez który wydobywa się miazga mózgowa. Kości czaszki poruchotane. Rany postrzałowej niema.

Stanisławów, 8 czerwca 1919 r. godz. 4 popoł.

Rutka mjr.

Janicki por.

Objaśnienia prywatne protokołu i bliższe dane:

Piotrowicz, lat 18, czeladnik szewski z Tyśmienicy.

Koncki czy też Kątki Rudolf, lat 23 (1896) blondyn, długie włosy, twarz pełna, w bluzie wojskowej, koszula siwa wojskowa.

Kraśnicki Stanisław, lat 15, ucz. III klasy szkoły realnej, ze Stanisławowa, w bluzie granatowej.

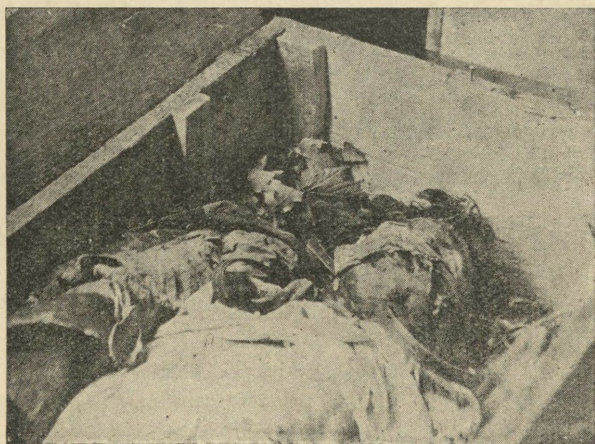
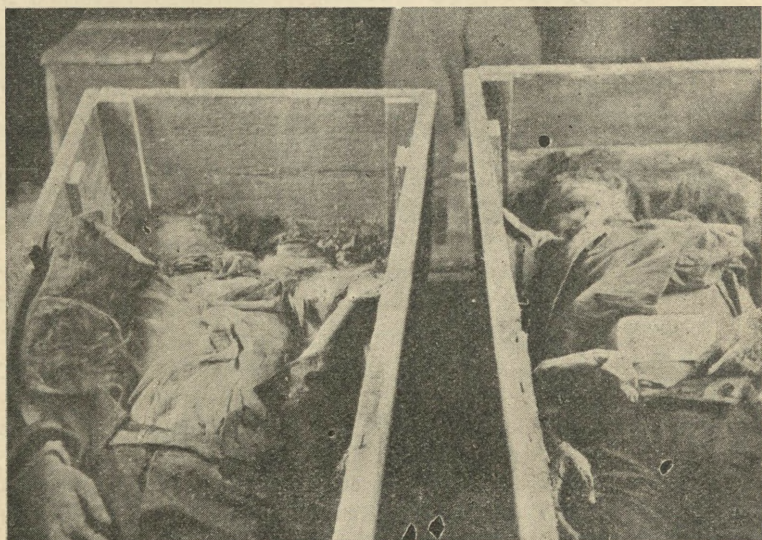
Olszewski, ucz. gimn. lat 17.

Dęboń Stanisław, ucz. II roku seminarjum, utalentowany i rzutki chłopak ur. 3 listopada 1901 r. ze Stanisławowa.

Pokój Franciszek, ur. 1899, ślusarz warstata kolejowego, Stanisławów.

Deniszczyk Józef, lat 22, ślusarz warsztatu sygnałowego kolejowego, Stanisławów.

Przy oględzinach był obecny nieoficjalnie znajdujący się przypadkowo na kolei lekarz wojsk polskich.



Ciała bestjałsko pomordowanych przez Ukraińców,
żołnierzy P. O. W.

Dnia 9 czerwca o godz. 3-ej po południu odbył się z dworca pogrzeb pomordowanych 7-miu Peowiaków.

Obrzęd ten urósł do rozmiarów olbrzymiej manifestacji, w której cała ludność nie wyłączając żydów, wzięła udział.

Trumny ze zmasakrowanymi szczątkami bohaterskich dzieci Stanisławowa, wieziono kirem pokryte na czterech karawanach i jednym wozie.

Padaly na nie, jako wyraz bólu, żalu, hołdu i ostatniego pożegnania pęki kwiatów i wieńce,... „Od towarzyszy broni“ — „Od Komendy P. O. W.“ — „Od miasta Stanisławowa — swym Obrońcom“ i wiele wiele innych, aż góry kwiecia pokryły zupełnie proste sosnowe, żołnierskie trumny.

Całe duchowieństwo, rodziny pomordowanych, Komenda P. O. W. w pełnym składzie, towarzysze broni, organizacje, delegacje z sąsiedztwa, przedstawiciele władz cywilnych i urzędów, — ce-



Pogrzeb siedmiu pomordowanych Peowiaków.

chów — dowództwa konsystujących w mieście oddziałów Wojska Polskiego, generalicja, korpus oficerski, muzyka kolejowa — chór imienia Szopena pod batutą ob. Matogi, oraz nieprzeliczone tłumy ludności, tworzyły imponujący kondukt, towarzyszący bohaterom w ich ostatniej „patroli“.

Nad otwartą wspólną mogiłą padło wiele rzewnych, serdecznych i pięknych słów pożegnania, wiele kwiatów, wiele łez....

* * *

Po rozwiązaniu P. O. W. rozleciały się nasze orlecia na wszystkie strony. Jedni wstąpili natychmiast w szeregi Wojska Polskiego, inni wrócili do szkół, inni do swoich zajęć.

Komenda miasta w myśl rozkazu pozostała w dawnym składzie — było to konieczne tak ze względu na znajomość stosunków i miasta, jak i na ciągłość spraw związanych z likwidacją P. O. W. którą należało przeprowadzić wolno i sumiennie, porobić potrzebne raporty, spisy, wykazy itd.

W mieście zapanował ruch ożywiony. Z polecenia Komendy, kompanja techniczna P. O. W. po naprawieniu torów i mostów, przywróciła komunikację z zachodem, poczem natychmiast przysły wieści o wypadkach i zmianach w kraju.

Dnia 11. czerwca przybyła do Stanisławowa Misja koalicyjna,



Powitanie Misji Koalicyjnej.

której towarzyszył generał polski Lamezan. Wśród szpalerów publiczności polskiej witającej z zapalem przyjeżdżających, zajęchali dostojni goście do ratusza, przybranego w zieleń i dekoracje. Imieniem reprezentacji miasta powitał gości burmistrz Sztymar. Zebrane tłumy publiczności owacyjnie pozdrowiały ich, wznosząc okrzyki na cześć koalicji. Orkiestra kolejowa odegrała pieśni narodowe. Imieniem Misji podziękował za przywitanie generał francuski, poczem Misja rozpoczęła przyjmować deputacje, celem poinformowania się o stosunkach w Galicji wsch., podczas inwazji ukraińskiej. W południe odbył się w salach restauracji „Union“ na cześć gości uroczysty obiad.

W tem miejscu pragnę podkreślić patryotyczne stanowisko żydów-polaków. Otóż Misja koalicyjna, nie opierając się wyłącznie na wyczynie P. O. W. i odruchu stanisławowskiego Społeczeństwa, zapragnęła zasięgnąć opinii mniejszości narodowej w sprawie przyłączenia Galicji wschodniej do Polski. Gdy więc przyszło do podpisania odpowiedniego memorjału, pewna nieuświadomiona część mniejszości narodowej, wahała się z podpisaniem deklaracji za przyłączeniem, a nawet przeciwdziałała temu.

I oto wówczas żydzi-patrjoci : Dr. Rozenbaum Jerzy, Radca Nebenzahl Samuel oraz b. p. poseł Rauch Edmund, potrafili tak wpłynąć na niezdecydowaną mniejszość, iż memorjał żądający przyłączenia Galicji wschodniej do Rzeczypospolitej Polskiej został przez mniejszość narodową podpisany.

Jest to ich wielką zasługą, której niewolno mi niezaakcentować.

* * *

Tymczasem dywizja gen. Aleksandrowicza uzupełniała uzbrojenie i zapasy amunicji z arsenału zdobytego przez P. O. W. Wymieniono broń, karabiny maszynowe, ściągnięto wszystkie auta, nawet auto Komendy miasta wcielono w skład dywizji.

Zupełnie naturalnem było, że armja, która lada godzina powinna była iść dalej celem oczyszczania resztek naszej ziemi, ekwipowała się, mając po temu sposobność — lecz odbywało się to tak chaotycznie i bezplanowo, że wyglądało na formalną grabież, zwłaszcza gdy przyszła kolej na ubrania i obuwie.

Już nie tylko wojsko, lecz i ludność cywilna bezkarnie zabierała co i gdzie się dało. Ile tam wówczas poszło zdobywszy naszej nadarmo, tego nie byłem w stanie sprawdzić. W każdym ra-

zie spisy robione przez P. O. W. stały się zupełnie niemal bezprzedmiotowe.

Wieści o tego rodzaju rozdrapywaniu państwowego mienia, dotarły zapewne i do Lwowa, gdyż przysłano nam stamtąd oddział O. L. K. (Ochotniczej Legji Kobiet) — specjalnie dla pełnienia służby wartowniczej.



Przybyły ze Lwowa oddział Ochotn. Legji Kobiet O. L. K.

„Olki“ będące wogóle materiałem pierwszorzędym i zasługującym na najwyższe uznanie, wywiązały się z zadania wzorowo, — cóż znaczyła jednak garstka około 30-tu ochotniczek, wobec licznych magazynów i składów.

W międzyczasie przybył nowy, przez władze wojsk. we Lwowie zamianowany komendant miasta, Kapt. Ocetkiewicz.

Sam, bez ludzi i aparatu wykonawczego — w dodatku w kolizji ze sztabem głównym dyw. gen. Aleksandrowicza niechęcącym uznać jego nominacji, znalazł się w trudnem położeniu.

Poznałem w nim człowieka energicznego, dobrej woli i szczerego patriotę. Chciałem ułatwić mu pierwsze kroki. Po złożeniu urzędowania, zaofiarowałem mu swoją osobę do dyspozycji, a za moim przykładem poszli wszyscy oficerowie, podoficerowie Kom. Miasta a nawet personel biurowy.

Mało po wojskowemu brzmi owo „zaofiarowanie“ — ale też, nie

byliśmy jeszcze wówczas żołnierzami wcielonymi w skład armji — lecz oficerami P. O. W. obarczonymi zajęciami we własnym zakresie, w związku z likwidacją organizacji — zwłaszcza ja, jako komendant, do którego należało po ostatecznem rozwiązaniu zdać raport i akta likwidacyjne w Warszawie.

Mogliśmy więc pracować jedynie dobrowolnie, bezinteresownie — nie zastanowił się jednak nad tem nowy Kom. miasta. Doszło skutkiem tego niepotrzebnie do przykrego incydentu.

Mianowicie, pewnego dnia Kpt. Ocetkiewicz nie uprzedzając nikogo, zwołał raport wszystkich oficerów Kom. Miasta i ni stąd ni zowąd zażądał składania przysięgi.

W swoim i oficerów imieniu odmówiłem, prosząc o danie mi możności umotywowania mego postępowania — lecz Kapt. Ocetkiewicz nazwał to brakiem dyscypliny i chciał mnie z miejsca aresztować.

Natychmiast złożyłem broń. Gdy ochłonął i zapytał o powody odmowy, wytłumaczyłem mu, że aż do ostatecznego zlikwidowania naszej organizacji, obowiązuje nas przysięga P. O. W., której oczywiście naruszać nam nie wolno. Uświadomiłem go ponadto, z jakich pobudek z nim pracujemy, gdyż zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

Przekonany całkowicie, zgodził się na tego rodzaju rozwiązanie incydentu: oficerów, którzy chcieli już należeć do armji, a czynności swe w organizacji pokończyli, zwolniłem z przysięgi P. O. W. i ci złożyli obecnie nową, na ręce Kapt. Ocetkiewicza. Ja i inni natomiast, mieliśmy odtąd swobodnie pracować nad ostatecznem zlikwidowaniem P. O. W.



III.

DRUGA AKCJA P. O. W. (BACN ETAPOWY)

Garnizon Stanisławowski jak wspomniałem, czuł się w mieście doskonale. Gwarno było na ulicach, w kawiarniach, restauracjach.

Na cześć przybyłych urządzano bale, rauty, ulicami cały dzień przejeżdżały zdobyte przez P. O. W. auta, powozy pełne oficerów w towarzystwie i t. d.

Komenda P. O. W. zmalała ogromnie, bowiem jak wspomniałem, część przeszła już w skład armji, lecz ci, którzy jeszcze zostali, patrzyli na zabawy te raczej niechętnie. Gnębiły nas przeczcucia i obawy, że armja ukraińska nie jest tak zupełnie doszczętnie rozbita, i może miastu zagrażać, zwłaszcza, gdy się przez ten czas trochę uzupełni i zorganizuje.

Zasięgaliśmy stale wiadomości na własną rękę, zwłaszcza chodziło nam o uspakajające wieści, czy oprócz dyw. gen. Aleks. mamy jeszcze jakieś wojska tu na wschodzie, w kierunku Buczacza, i Husiatyna.

Nim zdążyliśmy dojść do jakiejś konkluzji, zauważyliśmy nagle niezwykle ruch w dywizji. Była to pierwsza połowa czerwca. Oddział za oddziałem wysyłany był na wschód i niebawem wszystkie wojska wraz ze sztabem dywizji wyjechały, zostawiając w Stanisławowie tylko niewielki oddziałek dla służby wewnętrznej.

Niedługo gubiliśmy się w domysłach, gdzie tak nagle wszystkie siły trzeba było rzucić. Już nazajutrz dowiedzieliśmy się, że 4-ta dyw. została rozbita pod Buczaczem i cofa się pod naciskiem przeważających sił ukraińskich. A więc nasze obawy niestety się sprawdziły.

W tej groźnej chwili, prawdopodobnie przypomniał sobie gen. Aleksandrowicz nasze ostrzeżenia. Może pierwszy raz pomyślał poważnie o naszej, obecnie rozproszonej już z jego rozkazu i niemal kompletnie zlikwidowanej P. O. W. — jako o bądź co bądź

niezupelnie „bezsensowej i niepotrzebnej” organizacji, skoro na drugi dzień otrzymaliśmy od niego telegraficzny rozkaz „zorganizować P. O. W. spowrotem, celem zabezpieczenia miasta”. — Oddziały regularnego wojska bowiem wszystkie jakie tylko były, obsadziły zagrożone pozycje.

Cała jednakże prawa strona Dniestru była niemal zupełnie nieobsadzona i stąd największe niebezpieczeństwo groziło Stanisławowi.

Czasu nie było do stracenia! Rozkaz należało uchwycić w lot.

Organizować teraz, gdy jedni wyjechali, inni walczą na froncie, pozostali tylko uczniowie i starsi mieszczanie związani sprawami rodzinnymi, rzecz niełatwa — niestety było to jednak koniecznością.

Ogromne zasługi położył tu por. Hofmokr, stawiając na nogi całą kompanję w przeciągu godziny. W ciągu zaś dwóch dni napłynęło tylu ludzi, iż sformowaliśmy Bataljon. Zasililiśmy go potem jeszcze ochotnikami cofającymi się z Jazłowca (pod Buczaczem) oraz Monasterzysk, i kilku oficerami P. O. W. z Kołomyji. Baon razem liczył 3 kompanje w sile 400 ludzi.



Bataljon etapowy P. O. W.

Na czele stanąłem ja — a nazwaliśmy się Baonem etapowym P. O. W. — W skład weszli jeszcze prócz mnie z dawnej Komnedy P. O. W.: por. Hofmekl jako mój zastępca i kom. I kompanji, por. Kopyto kom. II kompanji, oraz ppor. Grudzieki jako oficer prowiantowy i magazynowy, zaś komp. III dowodził przybyły z Kołomyj por. Urbański. Adjutantem był ppor. Audykowski.

Rozlokowaliśmy się w gimnazjum ukr. przy ul. Lipowej.

Zadaniem tego jedyne go wówczas w mieście zbrojnego oddziału, było obsadzenie wszystkich mostów, wiaduktów, torów kolejowych, części Dniestru, magazynów.

Ciężki był to orzech do zgryzienia. Szczęściem była jeszcze w mieście zorganizowana przez P. O. W. a nierozwiązana dotąd policja i ta utrzymywała w mieście porządek — oraz O. L. K. która dzielnie sprawowała służbę wartowniczą.

Naszych 400 ludzi, zmuszonych było wykonywać pracę obliczoną co najmniej na 1000 — byli więc przemęczeni i z każdym dniem słabsi i mniej zdolni. Tym razem byli przynajmniej zaprowiantowani i racje swoje otrzymywali regularnie — żołądka oczywiście żadnego.

Wmiędzyczasie ze Lwowa zaczęło napływać coraz więcej jednostek z poleceniem objęcia władzy bądź to wojskowej, bądź administracyjnej. Dotyczący komendanci przybywali sami, bez ludzi i aparatu urzędniczego, a P. O. W. prócz Baonu etapowego nie miała już ludzi do dyspozycji. Stąd starcia, niezadowolenia miejscowe, oraz władz centralnych we Lwowie i przysyłanie ludzi coraz to nowych, „energiczniejszych“.

Dochodziło do tego, że było po kilku dowódców tego samego przydziału, ani jednej zaś siły wykonawczej. Tak było np. w Dow. Powiatu, gdzie dopiero jeden z oficerów P. O. W. mianowicie por. Strusiewicz, zgłosił się wraz z kilkoma podoficerami do dyspozycji i tem sytuację uratował.

W tym czasie przybył również do Stanisławowa nowomianowany starosta Dr. Trębałowicz i odebrał urządowanie od Dra Dobruckiego.

Każdy z przybyłych, czuł się w prawie a nawet w obowiązku wydawania nam Peowiakom rozkazów — sypały się więc one jak z rękawa, ze wszystkich komend i urzędów. O tem, że Baon P. O. W. jest ochotniczy, nawpół cywilny, mający własne określone

zadanie i wreszcie swego komendanta, nikt nie myślał, ani pamiętał.

Starałem się zresztą w miarę możliwości spełniać życzenia „rozkazodawców“ lecz, że przy takiej garstce przemęczonych ludzi możliwości były bardzo szczupłe i określone, częściej wchodziłem z nimi w kolizję.

Komendant Powiatu pułkownik Mikłaszewski zaczął mi zarzucać, że dysponuję większą ilością ludzi niż faktycznie mam na służbie. Nie było to zupełnie pozbawione racji, bowiem istotnie, około 20 ludzi nie mogło pełnić służby zewnętrznej, gdyż zupełnie już zdarli buty. Używałem ich do zajęć i służby wewnętrznej.

Nie pomagały tłumaczenia i usprawiedliwienia. Padł oto znamieny rozkaz Komendanta Powiatu pułk. Mikłaszewskiego „przysłać ludzi bez butów“ — nie było rady! Poszedł ów oddział uzbrojony i boso. Żałuję, że nie mam fotografii tego oddziału — dziś mogliby być dumni z tego tragi-komicznego zdjęcia.

* * *

W połowie czerwca 1919 r. doszły do nas konkretne wiadomości, potwierdzające już przedtem krążące nieśmiałe pogłoski, że do Polski ze wschodu przedziera się przez Rumunię jakaś „dzika“ dywizja, jest już nad granicą, śpieszy, by połączyć się z armją polską.

Ta wymarzona pomoc nie była mitem. Była to 4-ta dywizja strzelców gen. Żeligowskiego, przybywająca z Kubania przez Odesę, Besarabię i Rumunię.

Dnia 18. czerwca ukazali się jako straż przednia t. zw. biali ułani Żeligowskiego a za nimi piechota i sztab. Ludność cywilna mimo całej radości z ich przybycia, trzymała się w przyzwoitej odległości. Z respektem dla swych ewentualnych obrońców i lekkim niepokojem przed „dziką dywizją“ — bo czyż wiadomo co się pod tym przydomkiem kryje? dzielność straceńców, czy nie przebieranie w środkach?...

Nazajutrz po przybyciu „dzikiej dywizji“ zameldowałem się u gen. Żeligowskiego, który obrał sobie za kwatere tensam hotel, w którym chwilowo mieszkalem.

Wyobrażałem sobie, że zastanę generała w pełnej zbroi i szlifach, z „dzikim“ marsem na surowem obliczu — tnącym głosem

i stylem telegraficznym zadającego pytania. Po zdaniu sprawy zobaczę może znowu wymowny grymas, w sensie.... „no, no! zaba-



Gen. Zeligowski w otoczeniu swych białych ułanów.

wili się chłopaczki w prawdziwe wojsko i boją się, że zabawa może zajść dalej niżby chcieli — a „otuchę moralną“ wyniosę w formie pełnego wyrozumiałości, „uspakajającego“ poklepania po ramieniu.

Tymczasem, ujrzałem szlachetną, przeznacną, twarz uśmiechniętą z ojcowską wyrozumiałością i pogodą. Mundur generała stanowiła jedynie szaro-zielona „rubaszka“ rosyjska. Serdecznie przeproszał, że przyjmuje mnie leżąc, lecz cierpiał na nogę, którą otarł dotkliwie w tak długiej podróży.

Po zdaniu przezemnie raportu o sytuacji oświadczył, że ani P. O, W. ani ludności cywilnej, krzywdy wyrządzić nie pozwoli.... „Wy musicie dbać o spokój wewnątrz miasta i do żadnych zamieszek nie dopuszczać — mówił — ja zaś z dywizją swoją obsadzę Dniestr. Gdyby było bardzo źle, tak, że trzeba byłoby się cofać, tedy dam wam znać i cała zaangażowana politycznie ludność cywilna wycofa się z miasta pod waszą osłoną. Dopiero gdy już będziecie zupełnie bezpieczni, zacznie się cofać moja dywizja“...

Tak planował wódz „dzikiej dywizji“..!

Ale na szczęście, Ukraińcy dowiedziawszy się kto obsadził

prawą stronę Dniestru, nie pokusili się nawet o próbę zdobycia Stanisławowa.

W kilka dni później, chcąc prawdopodobnie przekonać się o sprawności naszego Baonu etapowego, zlustrował go generał Żeligowski. Przypuszczam, że nabrał zaufania, gdyż zaraz potem cicho i bezpowrotnie opuścił Stanisławów, na naszej tylko zostawiając go opiece.

Następnie długi czas bronił brzegów Dniestru, aż wreszcie jak się potem dowiedziałem, stanął na czele połączonych nad Złotym Potokiem Dywizyj 4-tej i 10-tej — i osiągnął zwycięsko linię Zbrucza, t. j. dzisiejszą wschodnią granicę Polski.

* * *

Po wyjeździe „dzikiej dywizji“ na front, przypadła Baonowi etapowemu, już tylko rola pełnienia służby wewnętrznej w mieście. Przy tak łatwym zadaniu mogłem spokojniej myśleć o likwidacji P. O. W. i wyjeździe z raportem do Warszawy.

Wiele czynników przyspieszyło tę akcję, przyczyniając się do rozwiązania Peowiackiego Baonu etapowego.

Przedewszystkiem, pozycje nasze na froncie zostały tak dalece umocnione, iż uwolniono zajęte Monasterzyska, Jazłowiec, Buczacz itd. Ochotnicy uciekinierzy z tych miejscowości, zasilający pokaźnie Baon, zapragnęli obecnie wrócić do swych opuszczonych rodzin czy domostw. Przyszli dobrowolnie i bezinteresownie bronić zagrożonego Stanisławowa, nie miałem więc prawa ich zatrzymywać. Równocześnie, we wszystkich szkołach średnich w mieście zarządzono maturę i znów musiałem zwolnić kilkudziesięciu żołnierzyków. Baon zmalał łącznie do liczby 200 ludzi. Wobec stale napływających, coraz liczniejszych sił zbrojnych z zachodu, odbierających stopniowo służbę od P. O. W. było to już bez większego znaczenia.

Ostatni oddział P. O. W. na rozkaz gł. Komendy, wyjechał pod komendą por. Cz. Hofmokla do Lwowa i tam zasilony, został podzielony na 2 kompanie etapowe, z których jedną wysłano do Kamieńca. Nie było to w myśl moich pragnień i planów. — Był to czas organizacji armii polskiej. Dumą każdego większego ośrodka czy dzielnicy, było mieć swój pułk bliski sercu. Planem moim, było porobić starania u Władz wyższych, by Baon etapowy P. O. W. stał się kadrą przyszłego pułku Stanisławowskich dzieci. Niestety, we Lwowie nie mogłem tego przeprowadzić, gdyż Dowództwo nie mogło znaleźć dla tej sprawy czasu.

Pozostawiłem tylko u gen. Iwaszkiewicza raporty i sprawozdania i wróciłem do Stanisławowa, aby pożegnać wyjeżdżający oddział, poczem wraz ze swym byłym adjutantem ppor. Heniszem, oraz członkami komendy P. O. W. ze Stryja, ob. Birkenmajerem Alfredem i Wertheimem oraz ob. Śliwą z Kołomyji, wyjechalśmy do Warszawy, celem złożenia w Najwyższym Dowództwie Wojsk Polskich, raportów i aktów likwidacyjnych.

Akta te stanowiły pokaźny plik papierów, łącznie ze spisem zdobytego materiału wojennego, kilkunastu tysiącami koron austr. zdobytej gotówki i stosem podań wszystkich oficerów P. O. W. o weryfikację i przyjęcie w skład Armji Polskiej.

W nac. Dow. W. P. skierowano nas do szefa Likwidacji P. O. W. kap. Kieszkowskiego. Przyjął nas serdecznie i rozpoczęliśmy zaraz kilkudniową likwidację, zdawanie pieniędzy, które zostały przelane do Kasy Państwowej i aktów, które przeszły do muzeum wojskowego. W kilka miesięcy później, otrzymałem z Nacz. Dow. W. P. w Warszawie pokwitowanie, które jako dokument załączam.

NACZELNE DOWÓDZTWO W. P.
(SZTAB GENERALNY)

Warszawa, dn. 11 stycznia 1920

Oddział II-i Informacyjny.

№ 6443 / II

P O K W I T O W A N I E .

Likwidatura P.O.W. przy B.W. Oddziału II. Nacz. Dow. W. P. niniejszym kwituje z odbioru od b. Kom. Okręgu P.O.W. Stanisławów sumy kor. 4568,30/ słownie: czterdzieś tysięcy pięćset sześćdziesiąt osiem kor. 30 hal./ oraz:

1. Karteczki Banku Kraj. na sumę kor.	1.000.-
2. " Kasy Oszczędności " "	233.06
3. " Kred. Związk. " "	18.46
4. Stempli/marek/	1.840.90
b. Blankietów pożyczki wojennej/Kriegsanleihen/	

2.

Kieszkowski

Szef Likwidacji P.O.W. /kpt



Pokwitowanie Nacz. Dow. w Warszawie z odbioru zdobytej
przez P. O. W. gotówki.

Nakoniec, przedstawiono nas Naczelnikowi Państwa, Józefowi Piłsudskiemu.

Marzyliśmy o tem całą drogę!.... drżeliśmy z niecierpliwości, oczekiwania i radości. Za nic w świecie nie oddalibyśmy dodającej nam pewności siebie świadomości, że staniemy przed Dziadkiem nie z próżnemi rękoma — że przywozimy Mu małą, ale własnymi siłami oswobodzoną i obronioną część Polski.

Z silną mimo wszystko tremą, weszliśmy do gabinetu Naczelnika w Belwederze. Ani śladu przepychu, czy męczącego ceremonjału u najwyższego dostojnika Państwa. Za skromnie urządzone biurkiem, w szarej legjonowej bluzie stał Dziadek z serdecznie wyciągniętą do nas prawicą.

Stałem naprzeciw Naczelnika po raz pierwszy w życiu — zdałem raport szczegółowo, a gdy skończyłem, objął mnie za ramiona, i rzekł: „spisaliście mi się jaknajlepiej! — powiedzcie to swoim po powrocie i podziękujcie odemnie“....

Była to dla nas jedyna i największa pochwała. Z dumą wieźliśmy ją potem naszym chłopcom — dziś jednak żałuję, że nie dostaliśmy jej wówczas na piśmie. Dla garstki naszej stanowiłaby drogi dokument historyczny.

Po raporcie oficjalnym, Naczelnik Państwa nawiązał z nami serdeczną pogawędkę, na temat stosunków na wschodzie Polski, potrzeb miejscowej ludności, warunków bytu itp.

Audjencja trwała godzinę, poczem uważaliśmy swoją rolę za zupełnie skończoną.

Pozostały nam jeszcze sprawy formalne do załatwienia, mianowicie przyjęcie w skład Armji Polskiej szeregu oficerów P. O. W.

Napotkaliśmy tu trudności, które nas boleśnie dotknęły.

W Nacz. Dow. panował wówczas jeszcze — powiedzmy szczerze chaos. Nie było ustalone, gdzie załatwić mogą nasze sprawy personalne.

Udałem się wprost do Min. S. W. gen. Sosnkowskiego i złożyłem podania w adjutanturze — lecz okazało się, że inna komisja rozpatruje sprawy b. legionistów, inna zaś oficerów b. armij zaborczych.

Ta pierwsza urzędowała widocznie sprawniej, gdyż jedyny wśród nas b. legionista, mój adjutant — sprawy swe personalne zdołał załatwić odrazu, podczas gdy nasze weryfikacje przyszły dopiero znacznie później.

Nie to jednak że „szlif oficera sztabowego“ nie przywiozłem, skłoniło mnie — jak mi złośliwi przypisywali — do wycofania się ze służby wojskowej. Powód był inny i nader prosty.

Przed samym wyjazdem z Warszawy zakomunikował mi kapt. Kierzkowski, że ówczesny kapt. Sławek potrzebuje energicznego oficera dla sprawy Wileńskiej, i że zgodził się na moją osobę.

Zaszczytnej tej misji nie podjąłem się, prosząc o zwolnienie mnie z powodów ściśle ze Stanisławowem związanych i odemnie niezależnych.

Jak już wspominałem, zajmowałem tam stanowisko inż. gazowni miejskiej. Szef mój, dyr. p. Antoni Dziurzyński, który od czasu zajęcia się mego sprawami P. O. W. prowadził gazownię wyłącznie sam, otrzymał obecnie propozycję objęcia gazowni w Poznaniu.

Miasto nie było w stanie przeszkodzić mu w przeniesieniu się na stanowisko intratniejsze i większe. Kierownictwo gazowni powierzono więc mnie, zobowiązując równocześnie słowem honoru, że po likwidacji spraw P. O. W. natychmiast powrócę do służby cywilnej. To więc było prawdziwym powodem opuszczenia przeze mnie szeregów W. P.



IV.

C. L. C. TRZECIA AKCJA P. C. W.

Powróciłem do Stanisławowa. Mieszkanie moje prywatne opuszczone i przez szereg miesięcy działań Peowiackich z braku czasu nawet nie odwiedzane, zastałem kompletnie ograbione, tak, że pozostały tylko meble.

Stosunki w gazowni po wojnie dosyć nieuregulowane, wymagały wyłączenia wszystkich sił, by z zadania się wywiązać. Istne walki musiałem staczać o przydział surowca (węgla), który wywalczony wreszcie z trudem, rekwirowano mi niejednokrotnie w drodze, czasem nawet już ze stacji kolejowej. Na konieczne po wojennych przejściach remonty, nie było ani kredytów, ani odpowiedniego materiału, lecz mimo wszystko udało mi się utrzymać w gazowni ruch nieprzerwany. Kłopoty te pochłaniały mnie jednak całkowicie tak, że całą zimę r. 1919/20 spędziłem zdala od spraw społecznych.

Wojna polsko-bolszewicka nie dawała się zbyt dotkliwie odczuwać. Powodzenie naszej armji, która oparła się wiosną 1920 aż o Kijów, pozwalało zwłaszcza Małopolsce wschodniej odrzuconej terenowo zupełnie poza nawias ewolucji wojennych, na wolny powrót do warunków normalnych.

Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

Stanisławowianie byli pewni, że nie będą nigdy już potrzebowali jakiejś samoobrony.

Ale już w maju 20 r. doszły nas słuchy o kontrofenzywie bolszewickiej, a potem jak grom waliły się hiobowe wieści o stałym cofaniu się naszej armji.

Pomoc dla kraju okazała się konieczną. Mogliśmy však liczyć tylko na własne siły. Postanowiono stworzyć armję ochotniczą, ogłoszono pobór kilkunastu roczników.

Ukazały się w całym kraju płomienne odezwy. „Rzućcie urzędy, pracę domową, itp. a chwycicie za broń i śpieszcie na front“. — Rozpoczął się więc i w Stanisławowie werbunek. We wszystkich zespołach biurowych zapadały jednomyślne uchwały, by oddać armii wszystkich zdolnych do broni, stanowiska ich zastępując narazie tymi, którzy już walczyć nie mogą.

Zgłosiłem się na front, bez namysłu. Gdy się jednak Magistrat o tem dowiedział, reklamował mnie natychmiast, uzyskując zwolnienie, jako nieodzownego na ważnej dla miasta, a wymagającej ręki fachowca placówce.

Nie mogąc spełnić swego obowiązku na froncie, postanowiłem oddać się w miarę potrzeby miejscowym sprawom społecznym.

Mniej więcej w maju 1920 r. przybył ze Lwowa delegat M. S. O. z misją od gł. Kom. prof. Kryńskiego, utworzenia Ochotniczej Legii Obywatelskiej w Stanisławowie. Zadaniem jej, było zjednoczyć wszystkie organizacje zbrojne i sportowe w jedną całość, by objąć służbę w mieście, zwalniając tem samem wojsko dla służby frontowej — na wypadek zaś koniecznej potrzeby, bronić polskości miasta w miarę możliwości.

Wśród zgłaszających się tłumnie obywateli, wyłoniła się kwestja nominacji komendanta, któryby energicznie akcję ujął, zorganizował i poprowadził. Na wniosek ob. Dziekońskiego misję tę powierzono mnie, popierając ten wybór trudnym do odparowania, jednomyślnym argumentem. że przyjąć ją jest moim obywatelskim obowiązkiem, od którego nie wolno mi się uchylać.

Tegosamego dnia rozpocząłem akcję.

O. L. O. w Stanisławowie zjednoczyła w sobie organizacje, które w danej chwili były do dyspozycji — tj. M. S. O. pod kom. p. Matogi, a następnie prof. Długopolskiego, Skaut pod kom. prof. Ruksera oraz resztki P. O. W. występujące jako indywidualne jednostki na wezwanie swego b. dowódcy.

O objęciu komendy zawiadomiłem swoją władzę przełożoną, tj. Magistrat. Komisarz miasta p. Antoni Szytygar przyjął tę wiadomość słowami... „jako obywatel miasta, stoję do Pańskiej dyspozycji“... — Natomiast zastępca jego, ~~Dr. Emanuel~~ nie miał swego niezadowolenia, sam będąc zawsze od wszelkich polskich organizacyj zdaleka.

Praca w O. L. O. polegała na służbie wartowniczej przy

ważniejszych obiektach państwowych i patrolowaniu miasta zwłaszcza w nocy. Broni i amunicji mieliśmy poddostatkiem od wojskowości, a prowiantów o które wówczas było niezmiernie trudno, dostarczała nam intendentura W. P.

Poważni, starsi obywatele miasta, jak pp. Szytygar, Salwach, Lorenc, Stefanow, Flig i całe szeregi innych — pełnili swą służbę, aż serce rośło — ofiarnie i pożytecznie, świecąc przykładem całym zastępom obywateli młodszych. Znakomitą pomocą byli komendanci dzielnicowi, z pomiędzy których zapamiętałem ob. Długopolskiego, Sznajdra, Gräbera, Sopronia, Henrychowskiego — nie zapomnę też nigdy pełnej zapału, bezinteresownej pracy mego ówczesnego adjutanta Pozowskiego Marjana, który mnie prawie na krok nie odstępował.

Prawie całą załogę miasta zwolniliśmy dla frontu, we własnym więc już zakresie utrzymywaliśmy spokój i porządek, którego zawsze skłonne do wystąpień szumowiny podmiejskie, nie zdołały zakłócić.

Tymczasem nadeszło lato. Niepowodzenia Armji polskiej na froncie były coraz większe, i bardziej niepokojące.

Decydujące walki, przenosiły się coraz bliżej Warszawy. Wojska, jakie tylko były, zostały ściągnięte na najbardziej zagrożony teren. Małopolska wschodnia była pozostawiona własnemu losowi.

Dniestr był wprawdzie obsadzony, lecz tak słabo, że najlżejszy wysiłek Bolszewików będących już na lewym brzegu, wystarczyłby do opanowania Małopolski. Jednakże i ich cała uwaga i wysiłki zwrócone były na Warszawę.

Byłem zgnębiony. Wiedziałem, że z garstką około 300 ludzi nie obronię miasta w razie czego. Był to zresztą materiał najzacieńszy, ale przeważnie w wieku po pięćdziesiątce, lub młodzież skautowska zaledwie kilkunastoletnia. Ludzie niezdyscyplinowani i niewojskowi. Wszyscy inni byli na froncie.

Jedyną moją ostoją były resztki P. O. W. którym los z rozmaitych powodów kazał pozostać w Stanisławowie. Było ich zaledwie trzydziestu, między nimi z dawnych wybitniejszych działaczy ob. Łoziński, Pozowski, Bembenek i Soproń.

Wiedziałem, że gdy potrzeba będzie zdecydowanej akcji, nie dyskusji, mogę tylko na tę garstkę liczyć — oraz na to, że ich przy-

kład i zapal pociągnie i zagrzeje pewną ilość i tych zrównoważonych obywateli.

W pierwszych dniach sierpnia 1920 r. gruchnęły wieści, że Bolszewicy zajęli Kałusz, Bolechów, Dolinę i zdążają ku Stanisławowowi.

Popłoch powstał niebywały — rzucono się do ucieczki na oślep, a władze, jakie jeszcze były, zarządziły ewakuację.

Od dnia 13 sierpnia przerwana została wszelka komunikacja z zachodem. Dnia 20 sierpnia na skutek hiobowych wieści, ewakuowało Starostwo, Dyrekcja Skarbowa, Dyrekcja Kolejowa itp. do Kołomyji, a nawet ostatnia, obsługa stacji kolejowej ewakuowała dnia 23. sierpnia co prawda tylko na jeden dzień. O przełomowych walkach w tym czasie pod Warszawą, nie miał Stanisławów przez dłuższy okres czasu pojęcia.

Po wyjeździe setek kolejarzy, z których wielu należało do O. L. O. zeszczuplały szeregi organizacji tak dalece, że wogóle już nie było można myśleć o stawieniu oporu na wypadek wkroczenia bolszewików.

Na drugi dzień snuły się po pustem, jakby wymarłem mieście, już tylko resztki patroli O. L. O.

Wtem, wiadomość rewelacyjna! Podobno zastępca Komisarza ~~Dr. F.~~ organizuje jakąś straż i zwołał w tym celu poufne zebranie.

Nie zaproszono nas ani zawiadomiono wprawdzie o tem oficjalnie — lecz wybraliśmy się mimo wszystko wraz z Kom. M. S. O. p. Długopolskim — chętni wraz z naszą garstką do ewentualnego wzięcia udziału w akcji obronnej, bez względu na to pod czyją komendą.

Przybywszy na miejsce, ujrzelśmy dość liczną grupę szumowin wyłącznie ukraińskich i żydowskich — kilku znanych wśród nich wywrotowców i komunistów, a ani jednego poważniejszego obywatela i Polaka.

Weszliśmy na moment, gdy znany bezręki komunista Szrajer krzychał:... „dajcie mi tylko rewolwer, a stanę na czele tej straży!“

Dowiedzieliśmy się naprędce, że to ma być straż płatna i w tym celu Dr. F. ~~...~~ wyasygnował już z kasy miejskiej 40.000 Mp. — nieustalone jest jeszcze tylko, kto będzie komendantem.

Do nas, jako intruzów, zwrócono się raz tylko. Gdy mowa była o broni, dr. F. [redacted] rzucił mianowicie w moją stronę w formie rozkazu „karabiny pan wyda“! —

Odpowiedziałem, że nie wiem czy mi starczy broni i szybko opuściliśmy z prof. Długopolskim zebranie, by się naradzić i przeciwdziałać, bo nie ulegało już dla nas wątpliwości, że cała ta zgraja chce miasto opanować i bynajmniej nie bronić jego polskiego charakteru — być może ze strachu przed Bolszewikami, czy też z innych pobudek. W każdym razie skład tej nowej straży, (ani jej organizatorzy) nie nastrojał do zaufania.

W mgnieniu oka miasto zasypano czerwonymi ogłoszeniami cztero-języcznymi w kolejności: ukraiński, żydowski, polski i niemiecki — zawiadamiającymi o zorganizowaniu płatnej straży itd.

Równocześnie zdążono opanować siłą kilka placówek O. L. O. i ze zdobytą bronią wyjść na miasto.

Nie było ani chwili do stracenia.

Wówczas to zwołałem ostatnich „mohikanów“ P. O. W. Sprawę przedstawiłem krótko, mówiąc, że przed siłą wroga zewnętrznego będziemy zmuszeni się ugiąć, nie mamy bowiem na to sił, ale jak długo sytuacja nie jest zupełnie stracona, obowiązkiem naszym jest bronić polskości miasta do upadłego, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z przyczajonym wrogiem wewnętrznym.

Kazałem więc natychmiast rozbroić „dziką straż“ — która uległa nam zresztą łatwo i często na sam nasz widok porzucała broń.

W akcji tej, prócz dawnych członków P. O. W. brało udział kilku obywateli miasta, dla których owe cztero-języczne odezwy były już wystarczająco silną zniewagą i dość przekonującym dowodem, komu miasto wydać chciano. Zapamiętałem z pomiędzy nich ob. Szwabowicza, i kilku profesorów gimn.

Reszta obywateli tej miary co ob. Lorenc, Sznajder, Robinson, Wiśniewski i inni — w ogromnem wzburzeniu i podnieceniu — wręcz domagała się odemnie zdecydowanego wystąpienia.

Tak więc głosem polskiego obywatelstwa, a czynem Peowiaków utrzymana została polskość miasta Stanisławowa. Nie dostało się ono ani na chwilę w obce ręce — lecz gdyby nie ta garstka byłych Peowiaków, karnych, gotowych do czynu, odważnych i zde-

cydowanych — byłoby może inaczej. Wieczorem znowu wyłączne O. L. O. patrolowało ulice miasta.

Groźne pogłoski o przedarciu się i zbliżaniu Bolszewików okazały się nieporozumieniem — byli to nasi „sprzymierzeńcy“ Petlurowcy, którzy mając przeciwko sobie Sowiety i Denikina, musieli szukać oparcia o Polskę. Za sprawą więc Naczelnego Wodza nawiązali z Polską stosunki przyjazne i współdziałali wraz z armją polską przeciw bolszewikom.

Na terenie Małopolski wschodniej jednak zachowywali się jak horda tatarów.

Gdy sztab ich z atamanem Petlurą już kwaterował na dworcu, a reszta miała dopiero przybyć, chciałem nawiązać kontakt ze Lwowem lub Stryjem i w tym celu wysłać patrol pociągiem.

Nie będąc pewnym czy droga jest istotnie wolna od Bolszewików, wysłałem do sztabu Petlury delegację, z prośbą o informacje czy droga jest wolna, oraz o dodanie nam pewnej siły zbrojnej. Ataman odpowiedział, że droga jest wprawdzie zupełnie wolna, lecz nie radzi nam się wybierać, bo zupełnie nie odpowiada za swoich ludzi.

Nadchodzące pierwsze ich patrole zaczynały stosunki „przyjazne“ od ordynarnych rabunków. Wynikały stąd częste starcia między O. L. O. a nimi, przyczem jeden z Petlurowców został zabity. Drugiego znów, który usiłował na koniu wjechać do cukierni „Union“ na ul. Sapieżyńskiej, w moich oczach zastrzelił jego własny oficer, patrzący na to z balkonu pierwszego piętra.

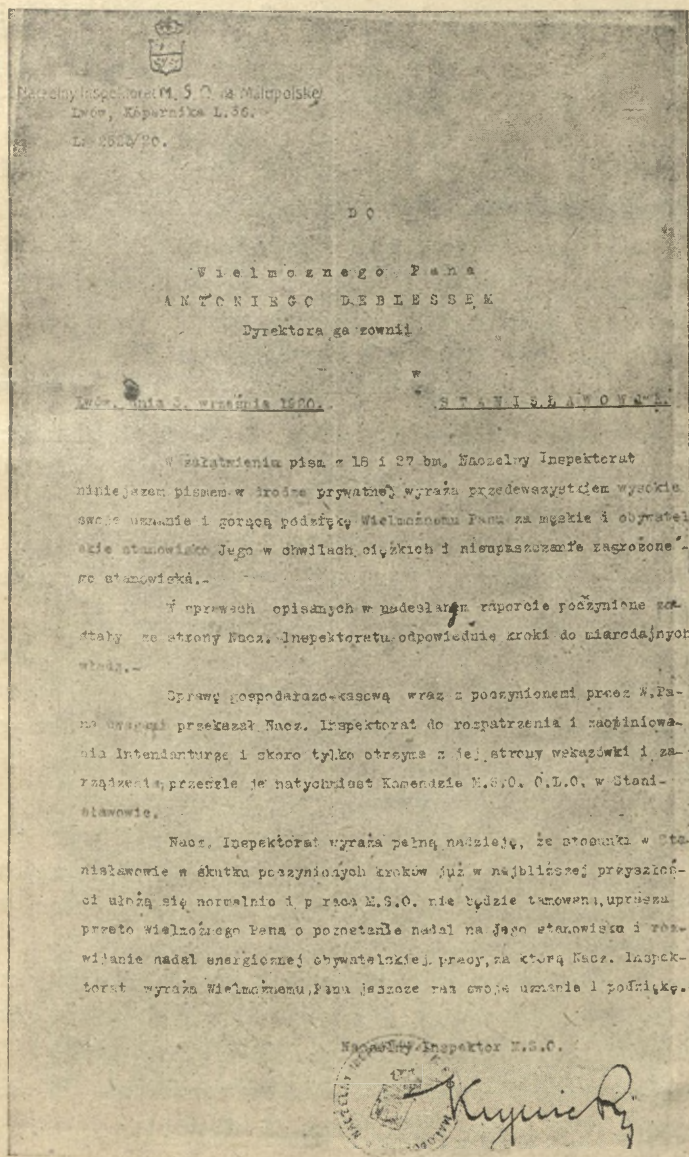
Wiele faktów rozboju zdarzało się zwłaszcza na przedmieściu, lecz zamało miałem ludzi, by się móc skutecznie przeciwstawić.

Nabrawszy przekonania, że to nie był najazd bolszewicki powróciły po kilku dniach, (a mianowicie dnia 25. VIII.) władze Stanisławowa. Wszyscy czuli się trochę nieswojo wobec tych co pozostali — ale ostatecznie wszystko utonęło w biegu wypadków.

Przyszły radosne wieści, przywiezione zresztą przez kolejarzy, a zaczerpnięte od Konsula polskiego z Czerniowiec p. Hampla, że armja nasza odniosła dnia 15. VIII. pod Warszawą świetne zwycięstwo i ściga uciekających teraz w popłochu Bolszewików. Do Stanisławowa nadeszły teraz oddziały wojsk naszych a „sprzymierzeńców“ udało się O. L. O. za sprawą starosty p. Trębałowicza „translokować“.

Organizacja nasza, zasiliwszy się znowu pokaznie tymi, którzy powrócili, spełniała nadal swą służbę obywatelską. — W mieście zapanował ład i spokój

Gdy wreszcie droga na Lwów została otwarta, wysłałem do swej władzy naczelnej, tj. Inspektoratu M. S. O. we Lwowie do-



Pismo Naucz. Komdy M. S. O. we Lwowie.

kładny raport z działalności J. L. O. nie pomijając oczywiście milczeniem faktu zlikwidowania i unicestwienia grożącej miastu międzynarodowej straży.

Na raport mój otrzymałem z Naczelnego Inspektoratu M. S. O. pismo, którego treść przytaczam.

* * *

Oczywiście po powyższych faktach zawrzała walka pomiędzy mną a organizatorem owej straży, urzędującym zastępcą komisarza miasta. (W tym bowiem czasie komisarz miasta p. Szytygar wniósł rezygnację). Początkowo cicha i nam tylko obu wiadoma, od pierwszej chwili nierówna i z góry zdecydowana, bo będąc podwładnym ~~F. F. F.~~, byłem niejako w jego mocy.

Wzmogła się ta wojna z chwilą, gdy insp. M. S. O. interweniował w sprawie zejść w Stanisławowie u władz miarodajnych.

Raport mój, dotyczący tej sprawy, dostał się w ręce nowoprzybyłego starosty p. Głażowskiego, typowego „lojalnego“ urzędnika austriackiego i serdecznego przyjaciela Dra F. ~~F. F.~~

Niewygodne to pismo przeszło zkolei w ręce niefortunnego organizatora „dzikiej straży“ i nigdy już nie ujrzało światła dziennego — dało mu jednak cel życia i urzędowania.

Postanowił pozbyć się mnie ze Stanisławowa za wszelką ceną — no i rzecz naturalna u tego pokroju ludzi, bez przebiegania w środkach.

Ciekaw byłem do jakiego bezprawia ucieknie się mój zwierzchnik, bo drogi legalnej nie było absolutnie. Z obowiązków swoich wywiązywałem się tak, że żadnych przekroczeń lub „niedociągnięć“ mogących posłużyć za mniej lub więcej naiwny pretekst do usunięcia mnie, nawet p. F. ~~F. F.~~ znaleźć nie mógł.

Wreszcie, po wyczerpaniu w ciągu całorocznej walki podjazdowej wszelkich możliwych krętych ścieżek i niezaszczytnych manowców — zakomunikował pan Komisarz Radzie przybocznej wręcz, że żąda mego usunięcia.

Pp. radni Salwach i Horowitz stanęli zdecydowanie w mej obronie — lecz p. Komisarz zwołał mimo to Radę miejską, z tym jedynym punktem porządku dziennego.

Chcąc zdekompletować posiedzenie i temsamem do uchwały niedopuszczyć, radni polscy zbojkotowali je solidarnie.

Na potrzebny komplet 36, zjawilo się zaledwie 9-ciu, lecz

Uchwałę doręczono mi tejsamej jeszcze nocy. Uśmiechnąłem się czytając. Takiej właśnie oczekiwałem i taka tylko dawała mi

O r z e z a n i e .

Natomiast Komisja uznata się niewłaściwie do załatwienia skarg tak Dr. Perensiewiczą jak p. Antoni'ego Deblessema, o obrzeczcie obywateli, że skargami takimi, powinni byli wystąpić przed zwykłymi sądami, które w takich sprawach orzekają, jak również Komisja uznata się niewłaściwie do badania porządków w gazetach tudzież do badania wad i zalet osobistych tak Dr. Perensiewiczą jak i p. Deblessema, jako do sprawy nie należących.

Jan. Sznajder m.p. Roman Jasieński m.p. Stanisław Lubrowski
m.p. Zdzisław Wyszniowski m.p. Dr. Adolf Dworecki m.p.

Старинков 2. II. 1921.

Panne Anticriana Velloromari'ini



* *Tarvidavoni*

20. *Macrostomum*
1. *Cambridge*

91

rękojmię, że wcześniej czy później miasto przegrać i zadość uczynienie dać mi musi.

Jednego wszakże postanowiłem nie dociekać i nie stwierdzać — czy wśród tych 9 radnych nie znalazł się choć jeden Polak.

Chciałem wierzyć, że cała ta skandaliczna sprawa jest dziełem tylko jednostki. Że dla ubliżających każdemu Polakowi względów, nie sprzedał żaden obywatel swego głosu i podpisu — że nie było tam ani jednej polskiej ręki z tych, co tak niedawno podpisywały serdeczne podziękowanie i słowa wdzięczności mnie i moim podkomendnym, za dzielną obronę miasta.

Od ukochanego miasta, z którym łączyło mnie tyle przeżyć, i jego polskiego obywatelstwa, chciałem unieść w pamięci ten pierwszy jedynie dokument.

Jeszcze w trakcie walki naszej, starał się Dr. F. [REDACTED] na każdym kroku autorytet mój podkopać, oczerniając mnie i dyskredytując.

Doszło do tego, że odniosłem się do Polskiego Komitetu Powiatowego z prośbą o obronę i rozpatrzenie sprawy.

Po mozolnych badaniach i śledztwach, wydał Polski Komitet Narodowy orzeczenie, które podaję, a które przyniosło mi pełną satysfakcję.

Po tych zajściach trzeba było się ze Stanisławowem pożegnać na zawsze.

Opuszczałem miasto z życzeniami, by nigdy już nie potrzebowało opieki i obrony swych dzieci.

Zapanował już wtedy zresztą spokój i ład. Powstanie dzikiej straży było ostatnią dla miasta krytyczną chwilą, a jej rozbrojenie przez Peowiaków, ostatnim faktem zamykającym całokształt działań tej organizacji, na terenie Stanisławowa i dla tego wspomnieć o nim musiałem.



ZAKOŃCZENIE

Dziś, patrząc na wydarzenia te z odległości lat piętnastu zadaję sobie pytanie, czy to wszystko było potrzebne?

Stanisławów oswobodziłyby były wojska polskie i bez nas, tylko o kilka dni później — a uratowane przez nas składy i zapasy w magazynach, oraz uchronienie resztek mienia prywatnych obywateli od grabieży.... czy były dostateczną ceną za życie kilkunastu młodych i za mękę bestjałsko pomordowanych...?

Nie zastanawialiśmy się wówczas nad ceną! Ani nie wyobrażaliśmy sobie od początku, że dokonamy czegoś niezwykłego, że ruszymy z posad ziemię. Chcieliśmy tylko poprostu, tak jak nas na to było stać i jak umieliśmy, krzyczeć choćby na całą Europę, że Kresy są Polskie! Że nie wolno nas zostawiać pod jarzmem, że nie wolno o nas zapomnieć przy zakresłaniu granic odradzającego się Państwa! Że jesteśmy, trwamy, walczymy i ginimy. Jakże inaczej dowieść mogliśmy faktów, których każdyby zaprzeczył, gdybyśmy cały czas siedzieli spokojnie, a nadchodzącą armję polską witali z za pieca? I jakże mieliśmy siedzieć beczynnie kiedy widzieliśmy, że cały naród walczy?

Czyn nasz był krzykiem o Polskę — a jako taki, był konieczny i nieodzowny! Może wśród pięknych kart historii znajdzie się wzmianka, że ziemia Stanisławowska sama decydowała o swem bezapelacyjnem należeniu do Polski.

Ten nasz wysiłek przeszedł jednak dla Polski niemal niespostrzeżenie, bo kraj cały był pochłonięty wojną, akcją organizacyjną, potem upojony cudem nad Wisłą i dalszemi zwycięstwami.

Dzienniki lwowskie i krakowskie poświęciły wprawdzie wiele szpalt tej sprawie — lecz sprawozdania te daleko odbiegały od ideału ścisłości.

Było to jednak winą P. O. W., a ściśle mówiąc moją.

Dzienniki przysyłały swych licznych sprawozdawców, lecz przejęci grożącym niebezpieczeństwem na wypadek powrotnej fali ukraińskiej, a następnie wtargnięcia Bolszewików, nie mieliśmy czasu ani nastroju do referowania sprawozdań z działalności i wypadków. Myślało się o tylu ważnych i gorących sprawach — placówkach, najpotrzebniejszych referatach — nie miało się więc czasu na referat propagandowo — prasowy.

Dziś uważam to za błąd — i pamiętnikiem tym pragnę naprawić krzywdę wszystkim, którzy bezpośrednio czy pośrednio brali czynny udział w P. O. W. w Stanisławowie.

W roku 1920, kiedy echa o Stanisławowskich zmaganiach Peowiackich już przebrzmiały i kiedy to ukazało się na horyzoncie Armji polskiej tak popularne wówczas, ustanowione ongiś przez Stanisława Augusta odznaczenie „Virtuti Militari“, uważałem za swój święty obowiązek zwrócić uwagę Rządu na Stanisławów.

Na 600 członków P. O. W. wybrałem zaledwie ośmiu, najbardziej ojiarnych, najdzielniejszych i najbardziej zasłużonych, przeważnie organizatorów P. O. W. i przedstawiłem ich do tego odznaczenia. — Niestety wnioski te do dnia dzisiejszego spoczywają w kapitule, nawet jak przypuszczać należy, bez rozpatrywania.

Ostatecznie, oddali oni sprawie tylko to, na co ich młody wiek było stać. Ze swej strony w formie jedynej rekompensaty mogą tylko umieścić w tym pamiętniku wszystkie nazwiska członków organizacji.

Spis jest naogół dość ścisły — lecz mimo wszystko, może jednak ktoś nie został umieszczony. Jeżeli wkradła się jakaś niedokładność tego rodzaju, niech mi pominieci wybaczą. Pamięć ludzka jest zawodna, a spis był robiony wówczas, gdy już kilku członków Komendy P. O. W. ze Stanisławowa wyjechało.

Niechże będzie jedyną pamiątką dla drogich sercu towarzyszków broni i ofiarnych, najszlachetniejszych dzieci Stanisławowa.

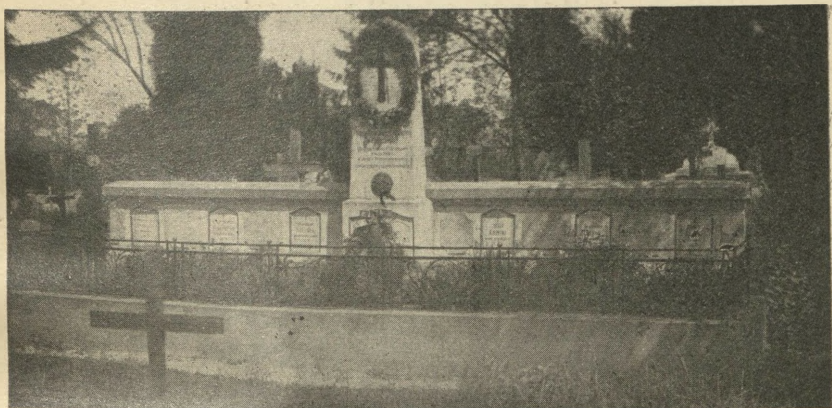
Tyle mogłem zrobić dla żywych.

O poległych pomyślał kto inny.

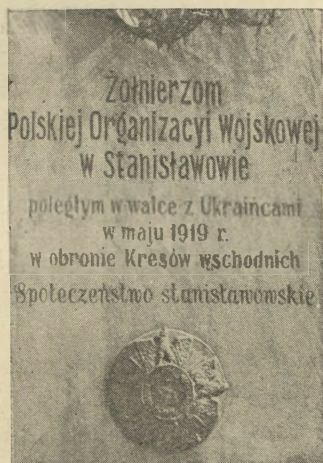
Obywatelka Józefa Fuchsówna — niestrudzona bojowniczką o niepodległość, zawiązała Komitet, celem postawienia pomnika pomordowanym bohaterom obrońcom.

Pokonała dzielnie trudności finansowe, włożyła bardzo wiele pracy, energii, poświęcenia i celu dopięła.

Odtąd na cmentarzu Stanisławowskim biłą się krzyże na wspólnej mogile tych, którzy za swą ofiarę, młodość i śmierć w męce — pierwsi spoczęli w wolnej, odrodzonej Ojczyźnie!



Pomnik siedmiu pomordowanych żołnierzy P. O. W.



Fragment pomnika (napis).

ALFABETYCZNY SPIS

b. członków P. O. W. okręgu Stanisławów.

Abgarowicz Kazimierz	Brzezicki Michał
Baczyński Stanisław	Buczek Tadeusz
Baranowski Józef	Bubnicki Tadeusz
Barusiak Jan	Budzianowski Stanisław
Bartkiewicz Sylwester	Burghart Józef
Belotti Józef	Burhart Tadeusz
Bembenek Andrzej	Burjak Julian
Benesch Karol	Burnat Stanisław
Bernaczek Jan	Burysz Stanisław
Bertoni	Buzalewicz Andrzej
Bezaniuk Ludwik	Bonikowska Marja
Bezruczka Antoni	Bachmatiuk Stefan
Białous Franciszek	Chmiel Marjan
Bican Jan	Chowaniec Władysław Tadeusz
Bidziński Józef	Chudeczak Tadeusz
Bidziński Michał	Chuderski Aleksander
Bidziński Stanisław	Chuderski Tadeusz
Bielecki Stanisław	Chudzik Jan
Bieniasz Józef	Chudzikiewicz Antoni
Bilewicz Edward	Chudzikiewicz Piotr
Bilewicz Jan	Chudzikiewicz Leopold
Bill Józef	Chyrowski August
Bill Kazimierz	Cieśla Feliks
Boczar Ludwik	Cisar Franciszek
Bogdanowicz Stanisław	Czerniwczan Wilhelm
Bogdanowicz Władysław	Czyżewski Stanisław
Bokotko Emil	Czyżycki Stanisław
Boleszczuk Franciszek	Chirowski Dominik
Bogusz Adolf	Daniec Tadeusz
Borcowski Alfred	Dąbrowski Henryk
Bryczyńska-Gotłubiowska Wanda	Dąbrowski Marjan

Dąbrowski Mieczysław
 Dąbrowski Stanisław
 Dąbrowski Tadeusz
 Deblessem Antoni
 Demkowski Zygmunt
 Denega Roman
 ś. p. Deniszczuk Józef
 Deniszczuk Henryk
 ś. p. Deboń Stanisław
 Didenko Stanisław
 Dr. Dobrucki Gustaw
 Dobrucki Jerzy
 Domański
 Domin Antoni
 Drabik Władysław
 Draczyński Stanisław
 Dreher Fryderyk
 Drobisz Karol
 Drzewicki Teodor
 Dubos Stanisław
 Dubicki Antoni
 Dylski Bolesław
 Dylski Henryk
 Dylski Jan
 Dylski Karol
 Dylski Kazimierz
 Dylski Zygmunt
 Dynes Józef
 Dyńko Józef
 Dyńko Tadeusz
 ś. p. Dyśko Włodzimierz
 ś. p. Dziniak Adam
 Dziurzyński Stanisław
 ś. p. Dziurzyński Wład.
 Drzewicki Bernard
 Dzieduszycki Julian
 Eisler Jan
 Emmerling Aleksander
 Falczyński Karol
 Fedorowski Stanisław

Felkel Adam
 Felkel Władysław
 Felszyński Jan
 Fiedler Henryk
 Fisch Gustaw
 Fischer Leon
 Flach Gustaw
 Flach Tadeusz
 Flendrich Józef
 Flieg Karol
 Florek Tadeusz
 Florek Zygmunt
 Forowicz Leopold
 Franczuk Józef
 Frühauf Marjan
 Fuchsówna Józefa
 Filipczuk Karol
 Friebe Gwido
 Gajewski
 Galanda Stanisław
 Gałuszkiewicz Józef
 Gąsior Franciszek
 Gąsior Jan
 Gawroński Stefan
 Getman Michał
 Geisler Adolf
 Gliniecki Józef
 Gliniecki Julian
 Golonka Stanisław
 Gomułka Franciszek
 Gonciarz Franciszek
 Gorzkowski Antoni
 Gotkiewicz Teofil
 Górniewicz Eugenjusz
 Górski Ludwik
 Grabowski Fryderyk
 Grabowski Stanisław
 Grabowski Zygmunt
 Grabowski Ksawery
 Greczyn Józef

Grodzicki Kazimierz
Gräber Jan
Gruszkiewicz Józef
Gründl Edward
Gwiazdowicz Stanisław
Gyurkovich Seweryn
Gryniewicz Marjan
Hajny Michał
Halewski Tadeusz
Hamerski Marjan
Hanusz Adam
Harz Teofil
Hauswald Wilhelm
Hecker Fryderyk
Helfer Józef (Tadeusz)
Henisz Emil
Henisz Mieczysław
Herman Stanisław
Hofmoki Czesław
Hofmoki Zygmunt
Hornostaj Władysław
Hordyński Alfred
Hrabowski Jan
Hrabowski Władysław
Huber Emanuel
Hudetz Stanisław
Hudzik Leopold
Hudzikiewicz Wiktor
Humeniuk Edward
Humin Wiktor
Iżewski Władysław
Jakóbowski Marjan
Jagielski Eugenjusz
Jabłoński Franciszek
Jacek Czesław
Jach Tadeusz
Jacorzyński Eugenjusz
Jacorzyński Hadrian
Jacorzyński Paweł
Jakób Karol

Janowski Edward
Janowski Józef
Jańczy Stanisław
Jasiński Mikołaj
Jaskierski Stanisław
Jedliński Rudolf
Jędrusiński Edward
Jędryk Marjan
Jounga Helena
Kadow Władysław
ś. p. Kalinka Bolesław
Kamiński Leopold
Kamiński Stanisław
Kamiński Władysław
Kamiński Marjan Zygmunt
Kalwas Kazimierz
Kaśków Grzegorz Stefan
Kaster Stanisław
Kappy Bolesław
Karczowski Marjan
Karaś Michał
Kawalec Antoni
Kawalcówna Stefanja
Kaufer Marjan
ś. p. Kącki Rudolf
Kasprzycki Alfred
Kitrys Franciszek
Kimmel Józef
Klob Bolesław
Klob Kosma
Kłosowski Franciszek
Kobyłecki Józef
Kłosowski Jan
Knizatko
Koczerski Tadeusz
Koczerski Mieczysław
Kokoszka Stefan
Kolinek Stanisław
Kolankowski Michał
Kopijczuk Stanisław

Kopkiewicz Leon
 ś. p. Kopyta Kazimierz
 Kopyta Jan
 Kopyta Karol
 Korytowski Kazimierz
 Korytowski Władysław
 Korytnicki Romuald
 Kosiński Feliks
 Kotłarczuk Józef
 Kowacz
 Kowalski Franciszek
 Kowalski Stanisław
 Kowalczuk Władysław
 Kowalczuk Michał
 Kozłowski Bronisław
 Kozłowski Tadeusz
 Kozakiewicz Kazimierz
 ś. p. Kozicki Józef
 Kram Władysław
 ś. p. Kraśnicki Stanisław
 Kraśnicki Tadeusz
 Kristman Władysław
 Kropiwnicki August
 Kropiwnicki Wilhelm
 Krupa Jan
 Krupka Antoni
 Kubisz
 ś. p. Kubiszał Stanisław
 Kubok Karol
 Kuczyński Benjamin
 Kuczyński Kazimierz
 Kucharski Emil
 Kuklak Ignacy
 Kuklak Michał
 Kud Stanisław
 Kumala Wacław
 Kupiński Leopold
 Kwaśniewicz Eugenjusz
 Kwaśniewicz Juljan
 Kwaśniewski Juljan

Kwiatkowski Adam
 Kwiatkowski Bolesław
 Kwiatkowski Franciszek
 Kwiatkowski Gustaw
 Kwiatkowski Stanisław
 Kwiatkowski Tadeusz
 Kamiński Marjan
 Koszałkowski Józef
 Lacheta Tadeusz
 Lam Longin
 Lenartowicz
 Lerch Zbigniew
 Lewiński Kazimierz
 Ligęza Władysław
 Linkiewicz Edmund
 Linkiewicz Kazimierz
 Lipowski Kazimierz
 Lis Bronisław
 Lis Jan
 Lis Władysław
 Lisak Władysław
 Lisowski Stanisław
 Litaniuk Karol (Litoński)
 Lizon Adolf
 Lochschmied Rudolf
 Loos Piotr
 Lula Ryszard
 Lula Władysław
 Luster Bolesław
 Łękowski Kazimierz
 Łagan Leon
 Łomej Teodor
 Łoziński Kazimierz
 Łoziński Michał
 Łoziński Wiktor
 Łoziński Władysław
 Łozowski Franciszek
 Łubka Stanisław
 Łuczyński Józef
 Łubiński Michał

- | | |
|-------------------------|-----------------------------|
| Łukasiewicz Tadeusz | Mokrzycki Wacław |
| Łukasiewicz August | Moskaluk Emil |
| Łukjan Edward | Moszczyński Feliks |
| Łukjan Adam | Mroziuk Hieronim |
| Łysakowski Leopold | Müller Tadeusz |
| ś. p. Dr. Majewski Adam | Nałudka Kazimierz |
| Majewski Kazimierz | Nazar Jakób |
| Majewski Mieczysław | Nazar Ludwik |
| Majewski Tadeusz | Nawrocki Mieczysław |
| Majkowski Stanisław | ś. p. Niedzielski Władysław |
| Makary Alojzy | Neister Bolesław |
| Maksymiak Władysław | Niesłuchowski Józef |
| Maksymowicz Władysł. | Niwiński Władysław |
| Malinowski Karol | Niwiński Zygmunt |
| Małaczyński Piotr | Nobilec Jan |
| Małaczyński Władysław | Nogaj Wilhelm |
| Mang Henryk | Nowakowski Julian |
| Marcinowski Teodor | Nowemberski Józef |
| Majkut Edward | Nowicki Adolf |
| Meresz Henryk | Nowicki Jan |
| Markiewicz Bronisław | Nowotarski Kazimierz |
| Markiewicz Zygmunt | Nowotarski Tadeusz |
| Matoga Aleksander | Obierek Kazimierz |
| Maziarek Kazimierz | Obierek Leopold |
| Murer Henryk | Obmiński Jan Józef |
| Mazurak Bazyli | Ognisty Kazimierz |
| Mazurek Tadeusz | Ogonowski Józef |
| Mazurek Włodzimierz | Ogielski Franciszek |
| Mazurkiewicz Antoni | ś. p. Olszewski |
| Melen Bronisław | Oleszek Marjan |
| Melkus Gustaw | Olinger Antoni |
| Melz Czesław | Osnada Stanisław |
| Michalewicz Józef | Onitsch Bronisław |
| Mielnik Stefan | Onitsch Marjan |
| Miksiewicz Mieczysław | Orlik Michał |
| Miśkiewicz Antoni | Orlik Władysław |
| Misiecki Franciszek | Ostafiński Marjan |
| Misiółek Juljusz | Orzechowski Władysław |
| Misiółek Stanisław | Otropolski Edmund |
| Misiurowicz Tadeusz | Ostrowski Alojzy |

Pach Mieczysław
 Pachan Antoni
 Palczyński M.
 Palanica Józef
 Paradny Jan
 Pawłowski Dominik
 Peschek Ferdynand
 Petriczuk Józef
 Pilat Kazimierz
 Pilat Stanisław
 Pilecki Janusz
 Piskozub
 Pitulej Józef
 Pieczko Stanisław
 Pietrański Zygmunt
 Piotrowski Kazimierz
 Piotrowski Marjan
 Piotrowski Bronisław
 ś. p. Piotrowicz Izaak Andrzej
 Piotrowicz Kazimierz
 Plocek Robert
 ś. p. Pluskiewicz
 Podhamiuk Jan
 Podgórski Władysław
 Pokorski Kazimierz
 Podlubny Kazimierz
 ś. p. Pokój Franciszek
 Popiel Mieczysław
 Prachtel Juljusz
 Preiss Jakób
 Preiss Marjan
 Przybyło Karol
 Przybyło Władysław
 Ptaszek Wincenty
 Puli Hipolit
 Polny Fryderyk
 Pozowski Marjan
 Raczkowski Zgmunt
 Rastawiecki Modest
 Rastawiecki Roman

Rastawicki Jerzy
 ś. p. Rasiewicz Aleksander
 Radoniewicz Bolesław
 Reichel Edmund
 Rogowski Jan
 Rocznik Stanisław
 Rocznik Mieczysław
 Rostek Marjan
 Rotter Aleksander
 Rotter Alojzy
 Rotter Bronisław
 Rubczak Mieczysław
 Rubczak Tadeusz
 Rubczak Włodzimierz
 Rubinger Leopold
 Rubinger Zygmunt
 Ruczkowski Stanisław
 ś. p. Rudej Dominik
 Rudej Franciszek
 Runga Leopold
 Rupp Wilhelm
 Ruszczycki Bolesław
 Ruszel Marjan
 Rutkowski Antoni
 Rychel Mieczysław
 Rubczak Wacław
 Rubczak Bogdan
 Rubczak Józef
 Sabczuk Stanisław
 Sawicki Jakób
 Sałaban Piotr
 Sanojca Eugenjusz
 Sarad Wiesław
 ś. p. Saraniecki Marjan
 Sas Franciszek
 Sas Jan
 Sas Michał
 Salwach Juljusz
 ś. p. Schmidt Stanisław
 Schnir Izidor

Schüssel Wilhelm
 Sebastjan Ludwik
 Sechanek Stanisław
 Seidel Ludwik
 Seidler Henryk
 Senft Rudolf
 Serus Wincenty
 Seketa Mirosław
 Sieńczak Władysław
 Sierakowski Gustaw
 Siodlarczyk Marjan
 Silbert Karol
 Skalka Jakób
 Skaluba Stanisław
 Skąpski Franciszek
 Skarzyński Władysław
 Skotnicki Henryk
 Skwarczyński Józef
 Sliwiński Jan
 Sliwocki
 Slusar Władysław
 Słowik Franciszek
 Słowik Kazimierz
 Smółka Mikołaj
 Sochański Stefan
 Sochański Władysław
 Sobczak Stanisław
 Sobolewski Józef
 Sokołowski Bronisław
 Sokołowski Józef
 Sokołowski Longin
 ś. p. Sokołowski Teodor
 Sokołowski Ludwik
 Sokołowski Zygmunt
 Soproń Mieczysław
 Spaczyński Franciszek
 Stasina Józef
 Stanlik Józef
 Stec Antoni
 Stojalowski Jan

Stolarczyk Wilhelm Marjan
 Stopczyński Michał (Marjan)
 Strusiewicz Karol
 Szytygar Antoni
 Strömich Kazimierz
 Suchomel Tadeusz
 Suchomel Stanisław
 Suderski Józef
 Swistelnicki Józef
 Swizewski Jan
 Swizewski Józef
 Świdorski Edward
 Świdorski Jan
 Szaler Józef
 Szałasny Stanisław
 Szafran Michał
 Szapira Samuel
 Szanel Witold
 Szlarp Michał
 Sztabiński Marjan
 Sznerch Jan
 Szczerbicki Edward
 Szczerbek Wincenty
 Szneidrowicz Roman
 Szczerecki Wincenty
 Szerer Władysław
 Szpaczyński
 Szporek Mieczysław
 Szydłowski Jan
 Szydłowski Ludwik
 Szydłowski Marjan
 Szydłowski Roman
 Szydło Grzegorz
 ś. p. Szczypczyk Aleksander
 Szumlicz Błażej
 Skibiński Marjan
 Szymczuk Tadeusz
 Sokołowski Stanisław
 Skibiński Aleksander
 Szulc Władysław

Szymański Witold
 Szkołuba Błażej
 Tatar Franciszek
 Telichowski Adam
 Tiupa Józef
 Tokarski Roman
 Tomasikiewicz Stanisław
 Totuszyński Karol
 Tułasiewicz Tadeusz
 Tyszkiewicz Leliwa
 Ukraiński Ludwik
 Ulbrich Antoni
 Ulbrich Zygmunt
 Ungert Roman
 Warchałowski Bolesław
 Warzeszkiewicz Tadeusz
 Wdowiak Kazimierz
 Weber Edward
 Wein Klemens
 Wenzel Józef
 Wenzel Zygmunt
 Wiatrowski Roman
 Wierzbicki Jan
 Wierzejski Antoni
 Wierzejski Karol
 Więcek Kazimierz
 Wiktorczyk Tadeusz
 Wigocki
 Wilczyński Marjan Miecz.
 Winnicki Kazimierz
 Winnicki Teofil
 Winter Edward
 Wiśniewski Antoni
 Wiśniewski Władysław
 Wiśniewski Tadeusz
 Wiśniowski Kazimierz

Wiśniowski Stanisław
 Wiśniowski Tadeusz
 Włodek Tadeusz
 Wolański Władysław
 Wojtas Franciszek
 Wojtyński Romuald
 Wojtyński Tadeusz
 Wójcik Jan
 Wolak Wawrzyniec
 Woźniak
 Wróbel Stefan
 Wysocki Józef
 Voit Roman
 Zagajewski Mieczysław
 Zagajewski Zdzisław
 Zagórski Marjan
 Zbyszewski Stanisław
 Zając Michał
 Zając Jan
 Zajączkowski Henryk
 Zajer Tadeusz
 Zareba Alojzy
 Zatorski Ludwik
 Zawistowski Ferdynand
 Zieliński Emil
 Zieliński Kazimierz
 ś. p. Zieliński Zenon
 Ziemiński Kazimierz
 Zimmerman Józef
 ś. p. Zmirowski Eugenjusz
 Żelisko Ludwik
 Żelisko Mieczysław
 Żmurski Jan
 Żurawski Kazimierz
 Żytko Franciszek





Biblioteka

33105/2

Naukowa